

## WYSTĄPIENIA PANELOWE

ELŻBIETA SARNOWSKA-TEMERIUŚ  
WPROWADZENIE: HUMANISTYKA  
I NAUKI SPOŁECZNE  
WOBEC PRZYSZŁOŚCI

Ostatnia dekada XX stulecia stała się w Polsce i w Europie czasem ożywionej debaty na temat miejsca i roli nauki we współczesnym świecie. Pierwsze pięciolecie wieku XXI nie tylko podtrzymało tę dyskusję – angażującą wiele autorytetów naukowych – lecz także wzbogaciło ją o nowy aspekt, dający się wyrazić sformułowaniem: „miejsce i rola nauki w jednoczącej się Europie”. Od początku aktywny i znaczący jest udział – w tej blisko już piętnastoletniej dyskusji – przedstawicieli polskich nauk humanistycznych i społecznych. Tomy pokonferencyjne i książki autorskie opublikowane w ciągu ostatnich lat poświadczają to uczestnictwo i cenny wkład polskich uczonych w rozpoznawanie sytuacji nauki na przełomie wieków, diagnozowanie jej aktualnego stanu i prognozowanie przyszłości. Warto przypomnieć, że w 1995 roku, w Pałacu Staszica w Warszawie odbyła się konferencja *Od fotografii do rzeczywistości wirtualnej*, poświęcona przemianom kultury XX wieku spowodowanym przez nowe media. Profesor Maryla Hopfinger podkreślała wówczas wagę zmiany typu kultury z werbalnego na audiowizualny, jak też wskazywała

warunkowaną ekspansją elektroniki nową fazę multimedialną kultury audiowizualnej. W wydanej kilka lat później antologii (*Nowe media w komunikacji społecznej w XX wieku*) pod redakcją i w opracowaniu tejże autorki czytamy, że „szybki rozwój mediów odmiennych od znanych wcześniej tradycyjnych przekazów słownych i obrazowych, ich intensywna obecność w społecznej przestrzeni, wszystko to wpłynęło na zasadniczą zmianę doświadczeń komunikacyjnych uczestników kultury. (...) w miejsce słowa centralną pozycję zajęła audiowizualność”. Ścisły związek nowych mediów z techniką stwarza różnorodne możliwości, ale też liczne zagrożenia dla kultury. Podobnie ocenić można wpływ zmian cywilizacyjnych w obszarze nauk społecznych i humanistycznych, które, jak pisał w 2002 roku w tekście *Nauka o literaturze – integracja, dyskurs partnerski* Profesor Michał Głowiński, „tworzą komponent kultury, w której funkcjonują, wpływają na jej rozwój i kształt – choćby za sprawą tego, że oddziałują na procesy edukacyjne na wszystkich poziomach”.

O przeobrażeniach dokonujących się w Polsce w wymiarze ekonomicznym, politycznym, społecznym, czy wreszcie psychologicznym i kulturowym dyskutowali także, nieco wcześniej, przedstawiciele instytutów Wydziału I Nauk Społecznych PAN, tutaj właśnie, w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica. W słowie wstępnym, uzasadniającym zorganizowanie tego spotkania, ówczesny prezes Polskiej Akademii Nauk, Profesor Aleksander Gieysztor powiedział: „Społeczeństwo przełomu stuleci winno wszelako widzieć w nauce niezbędną dla działania społecznego i dla działania władzy demokratycznej podstawę...” (*Szanse i zagrożenia polskich przemian*, 1992). Kategorię społecznej zmiany, tak ważną w dys-

kusjach nad sytuacją nauk społecznych i humanistycznych, przystosował do potrzeb badań nad kulturą Profesor Piotr Sztompka w świetnej książce *Trauma wielkiej zmiany* (2000), wyjaśniającej etiologię, istotę, implikacje traumy kulturowej. Syndrom przełomu stuleci, zjawiska składające się na proces transformacji oddziaływały bardzo intensywnie na myślenie o kulturze. Znamienną pozycją w tym zakresie jest książka Marii Janion, *Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś?* (1996). Dostrzegając wygasanie pewnego cyklu dziejowego w kulturze polskiej (paradygmat symboliczno-romantyczny) i odchodzenie w przeszłość kultury organizującej się wokół wartości duchowych, Maria Janion podjęła zarazem próbę określenia warunków koniecznych i czynników chroniących niejako kulturę przed głębokim kryzysem. Należy do nich więc z tradycją i troską o podmiotowość. Autorka pisała: „Utrata więzi z tradycją oznacza rozpad norm kultury, którą wypracowały pokolenia. (...) Świadomość więzi z tradycją to przede wszystkim świadomość służby i zobowiązania, tkwiąca u podstaw moralności, ale także gwarancja tożsamości i autonomii kultury narodowej”. Troska o podmiotowość dotyczy zarówno kultury, jak szeroko pojętej humanistyki. W innej swojej późniejszej książce *Żyjąc tracimy życie* (2001) ta sama autorka stwierdza: „Żyjemy w dobie, w której polityka i ekonomia dokonują zawłaszczenia osoby, jej uprzedmiotowienia”. Walka z uprzedmiotowieniem (badacza lub twórcy) należy do podstawowych zadań humanistyki.

Przemiany widoczne w kulturze współczesnej odciskają swoje piętno na humanistyce i naukach społecznych. W książce gromadzącej materiały z konferencji zorganizowanej przez Komitet Prognoz „Polska w XXI

wieku” przy Prezydium PAN: *Nauka w Polsce w perspektywie XXI wieku*, w artykule dotyczącym przyszłości nauk humanistycznych i społecznych w Polsce Piotr Sztompka zauważał, że dyscypliny te zostały w pewnym zakresie dotknięte zmianami wspólnymi dla całej nauki, a w pewnym zakresie są „terenem zmian szczególnych wynikających z ich bardziej intymnego związku z praktyką życia politycznego, społecznego i kulturalnego”. Na zmiany cywilizacyjne i wyznaczniki transformacji społeczno-kulturowej nałożyły się od jakiegoś czasu również zjawiska, jakie wytwarza i niesie proces integracji europejskiej. Tym sprawom poświęcona została konferencja *Humanistyka polska wobec integracji europejskiej*, zorganizowana przez Instytut Badań Literackich i Polską Fundację Upowszechniania Nauki również w Pałacu Staszica (2001). Podczas konferencji postawiono szereg ważnych pytań naukom humanistycznym i społecznym, podjęto ponadto temat „humanistyki na rozdrożu” i problem nowych wyzwań dla nauk humanistycznych.

Pozwolę sobie przywołać własne słowa, zamykające to spotkanie: „Konferencja ta zrodziła się z przeświadczenia, że w czasach wielkiej zmiany, jakie są naszym udziałem, konieczne jest stawianie pytań o miejsce humanistyki, jej znaczenie i rolę w nowym stuleciu, o perspektywy jej rozwoju w zjednoczonej Europie, o aktywne współuczestnictwo w dokonujących się przemianach, i wreszcie o własną drogę humanistyki ku przyszłości”. Wyrażaliśmy wówczas przekonanie, że dbałość o depozyt przeszłości, o przekazywanie tradycji, ochronę i promocję dziedzictwa narodowego, a także starania o włączenie części naszego dziedzictwa kulturowego do kanonu kultury europejskiej i powszechnej należą do podstawowych zadań polskiej humanistyki. Zarazem

podjęte zostało ważne zagadnienie użyteczności nauk humanistycznych i społecznych. Inaczej mówiąc, starano się dowieść udziału tych dyscyplin w kształtowaniu społeczeństwa, w oddziaływaniu na praktykę społeczną przez edukację, w kreowaniu wzorów zachowań, formowaniu osoby i osobowości. Podobną opinię wyraził parę lat później Profesor Henryk Samsonowicz, pisząc: „Nauki te realizują nie tylko potrzeby badawcze, lecz także zaspokajają najróżniejsze potrzeby społeczne” (*Nauka w jednoczącej się Europie*, 2004). W 2003 roku odbyła się w Sali Lustrzanej Pałacu Staszica kolejna konferencja nt. *Sytuacja nauk humanistycznych w świecie współczesnym*, zorganizowana przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie. We Wprowadzeniu do konferencji Profesor Teresa Kostkiewiczowa zwracała uwagę na coraz bardziej uchwytny przejaw kryzysu społecznych funkcji i metodologii nauk humanistycznych i skutki tego stanu rzeczy. Pisała ona: „Paralelnie do zasygnalizowanego procesu specjalizacji coraz wyraźniej przejawia się czysto pragmatyczne podejście do badań humanistycznych, lekceważenie ich rezultatów, co za tym idzie – sytuowanie ich niejako na peryferiach obszarów świata nauki”. O fundamentalnej odpowiedzialności humanistów za swoje dziedziny mówił wtedy również Profesor Andrzej Białas. Także o tym, że konstrukcje intelektualne humanistów mają swoje konsekwencje w dziejach, humanistyka determinuje nasze życie codzienne i rzeczywistość globalną, idee humanistów przeobrażają świat.

Moja dotychczasowa wypowiedź miała nam uświadomić, że potrzebą czasu jest autorefleksja humanistyki i nauk społecznych. I tak trzeba to chyba widzieć – iż nasze dzisiejsze spotkanie panelowe jest kolejnym ogni-

wem w całym łańcuchu debat. Być może pewne problemy wracają, pojawiają się także inne i sądzę, że odczuwamy w gronie przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych narastającą wciąż potrzebę dyskusowania o tych sprawach. Coraz bardziej aktualne stają się takie tematy, jak zmiana statusu oraz funkcji nauk humanistycznych w obecnej rzeczywistości, wzajemne ich relacje w całym systemie nauk, miejsce dyscyplin humanistycznych i społecznych w obrębie czegoś, co nazwalibyśmy *universitas*, czyli *universum* nauki. Są też powody praktyczne, które sprawiają, że takie spotkanie jest bardzo potrzebne. W roku obecnym planowana jest głęboka reforma instytucji nauki w Polsce. Program Rządu zakłada między innymi wprowadzenie zmian w systemie badań naukowych i prac rozwojowych. Otóż ten czas reformy i czas przygotowywanych zmian powinien być także czasem mądrej i głośnej debaty przedstawicieli tych właśnie dyscyplin. Nie zgadzam się do końca z formułami takimi – chociaż na pewno jest w nich ziarno słuszności – jak „humanistyka na rozdrożu”, czy też „kryzys humanistyki”. Niewątpliwie takie zjawiska można odnotować, niewątpliwie tak trochę jest, że humanistyka znajduje się na rozdrożu, że nauki społeczne też poszukują nowych rozwiązań metodologicznych i nowych zadań. Trzeba jednak dążyć usilnie do wypracowania takiej strategii badań, która służyć będzie dynamicznemu rozwojowi dyscyplin i optymalnej realizacji poznawczych i badawczych wartości, jakie wnoszą te nauki. Nie wolno pod naciskiem uproszczonych i przeniesionych z innych dziedzin wiedzy dezyderatów praktycznej użyteczności i „wymiernej” przydatności dla społeczeństwa tracić z pola widzenia bezcennych funkcji i efektów społecznych szeroko pojmowanej humanistyki.

Nie ma żadnej wątpliwości, że przed naukami społecznymi i humanistycznymi pojawiają się nowe pytania. Z pewnością też rozszerzyć można opinię Profesora Wojciecha Wrzesińskiego (*Polska trauma*) dotyczącą nauki historycznej, co do konieczności wychodzenia poza tradycyjne metody i nawiązywania do osiągnięć politologii, psychologii, socjologii. Nowe pytania wymagają nowych, interdyscyplinarnych przedsięwzięć badawczych. Syndrom traumy kulturowej, problemy międzykulturowej komunikacji, przemiany tożsamości narodowej i europejskiej, zmiany w obrębie tradycyjnych systemów symbolicznych i mitów politycznych, społecznych, narodowych, przeobrażenia postaw wobec tradycji, systemów wartości, wzorów zachowań – wszystko to domaga się badawczego rozpoznania i zarazem stanowi impuls przebudowy modelu wiedzy humanistycznej i społecznej. Doskonałym przykładem takiej odpowiedzi na wyzwania czasu stał się projekt badawczy *Polonistyka w przebudowie*, którego integralną częścią i formą prezentacji opracowań był ogólnokrajowy Zjazd Polonistów (z udziałem polonistów zagranicznych), który odbył się w Krakowie jesienią 2004 roku. W ramach tej inicjatywy podjęto analizę następujących kwestii: miejsca i roli dyscyplin polonistycznych we współczesnej humanistyce, edukacji humanistycznej i w kulturze. Zmierzono się z problematyką wewnątrznaukową (merytoryczną i metodologiczną), dydaktyczną i kształceniową, uwzględniając zarazem perspektywę cywilizacyjną, a po części też konsekwencje wynikające z wejścia Polski do Unii Europejskiej.

Nasze obecne spotkanie panelowe zorganizowane zostało w czasie toczących się prac nad reformą nauki w Polsce. Ale już wcześniej w dokumencie *Założenia*

polityki naukowej, naukowo-technicznej i innowacyjnej państwa do 2020 r. znaleźć można znamienne zapowiedź (ppkt *Spółeczeństwo wiedzy – nauka dla społeczeństwa*): „W zakresie kulturotwórczej funkcji nauki należy zaznaczyć, że w dobie postępującej globalizacji, jednym z zadań naukowych jest podtrzymywanie dziedzictwa kulturowego. Szczególnie ważna rola przypada tu naukom humanistycznym i społecznym”.

Program Operacyjny *Nauka, nowoczesne technologie i społeczeństwo informacyjne, 2007-2013* posługuje się kategorią „badań strategicznych”, podejmowanych m.in. w ramach projektów badawczych zamawianych. Krajowy Program Ramowy (wrzesień 2005) proponuje priorytetowy kierunek badań dla nauk humanistycznych: „Tradycja kulturowa oraz zachowanie dziedzictwa materialnego i duchowego społeczeństwa polskiego”. Wszystkie te ustalenia są ważne, sądzę jednak, że nauki społeczne i humanistyczne wiele mogą zdziałać również na rzecz przyszłości kultury. Jeżeli otrzymają taką szansę. To znaczy, jeśli uzyskają mocniejszą niż dotychczas pozycję w kręgu badań strategicznych.

Zakończę swoją wypowiedź przywołaniem formuły, którą od dobrych paru lat słyszy się często w różnych gremiach naukowych: *the knowledge based society*, czyli społeczeństwo oparte na wiedzy, odwołujące się do wiedzy, czy też krócej: społeczeństwo wiedzy. Myślę, że my, tutaj zgromadzeni, chcielibyśmy rozumieć tę formułę również jako wyraz akceptacji zarówno wartości poznawczych, jak też społecznej roli humanistyki.

ANDRZEJ BIAŁAS

## ZŁUDZENIE UŻYTECZNOŚCI STEROWANEJ

Chciałbym zastanowić się przez chwilę nad UŻYTECZNOŚCIĄ NAUKI. Borykamy się z tym wszyscy, myślę więc, że warto skorzystać z niecodziennej okazji spotkania w tak szerokim gronie.

Problem można sformułować w postaci pytania: czy nauka POWINNA być użyteczna? Zwracam uwagę, że nie pytam, czy nauka JEST użyteczna, bo odpowiedź pozytywną uważam za oczywistą. Pytam, czy POWINNA być użyteczna, a więc czy należy dodatkowo stymulować użyteczność, tworząc w tym celu odpowiednie warunki społeczne lub finansowe.

A pytam dlatego, że w licznych dyskusjach o nauce obserwujemy zdumiewającą zgodność poglądów bardzo różnych środowisk. Słyszymy więc od uczonych, że władza publiczna winna zwiększyć nakłady na naukę, ponieważ to właśnie nauka jest podstawą rozwoju. Z kolei politycy – podejmując ten argument – domagają się, aby uczeni zajęli się badaniami „pożytecznymi”, a nie marnowali czasu na prace nie mające bezpośrednich zastosowań. Sądząc więc z tego, co słyszymy i czytamy, ustalono już, że celem badań naukowych jest sty-

mulowanie rozwoju gospodarczego i społecznego. Hasło mówiące, że nauka ma być „kołem zamachowym gospodarki” jest na ustach wszystkich.

Nie jest to zresztą sytuacja dotycząca tylko naszego kraju. Podobne sygnały docierają z Brukseli. Tzw. Program Lizboński, dzięki któremu przez nakłady na naukę Europa ma prześcignąć w 10 lat Stany Zjednoczone, to przecież bardzo podobna sprawa. To prawda, że projekt ten wywoływał i wywołuje uśmiechy wśród ludzi, którzy – jak ja – pamiętają jeszcze czasy Chruszczowa. Wiemy już, że program zakończył się klęską. Ale to nie przeszkadza powszechnemu uznaniu tezy, że nakłady na naukę mają służyć rozwojowi gospodarczemu.

Zabieram głos po to, aby zgłosić sprzeciw: Panie i Panowie, ta teza jest FAŁSZYWA, a jej konsekwencje mogą być groźne. Dla Europy. Dla Polski. MUSIMY się jej stanowczo przeciwstawić.

Trudno oczywiście kwestionować, że badania naukowe przyczyniają się – na dłuższą metę – do wzrostu gospodarczego oraz do poprawy jakości życia. Przykłady są liczne i nie ma potrzeby ich powtarzać. Jednak każdy, kto zetknął się z *prawdziwą* nauką rozumie, że nie wzrost gospodarczy jest celem badań naukowych, a w każdym razie nie jest celem najważniejszym.

Podstawowym celem badań naukowych jest bowiem POSZUKIWANIE PRAWDY. Bardzo przepraszam za te słowa. Wiem, że brzmią one trywialnie, śmiesznie i staroświecko. Ale nic nie poradzę: tak po prostu jest. Co ważniejsze, cel ten jest na tyle atrakcyjny, że zawsze przyciągał najwybitniejszych przedstawicieli rodziny ludzkiej. Zawdzięczamy im wiele. Nie tylko z tego powodu, że – jako produkt uboczny – ich rezultaty umożliwiły niebawym rozwój techniczny, lecz przede wszyst-

kim dlatego, że ich praca prowadziła do powstania NOWYCH IDEI, które, wprowadzone w obieg społeczny (czasem po wielu latach), zmieniały (i zmieniają) sposób myślenia milionów ludzi.

Dotyczy to badań w zakresie zarówno nauk przyrodniczych, jak i humanistyki. Nie chciałbym Państwa urazić przytaczaniem znanych wszystkim przykładów. Lecz jeżeli jeszcze można z trudem bronić tezy, że Kopernik prowadził swoje badania w celu utylitarnym, to jednak Galileusz, Newton, Einstein, Planck, Bohr tworzyli swoje konstrukcje z czystej chęci zrozumienia praw natury. A konsekwencje ich odkryć – podjęte przez filozofię – mają przecież podstawowe znaczenie dla naszych wyobrażeń o świecie. To prawda, że ich odkrycia znalazły też zastosowanie w praktyce, a nawet – można powiedzieć – zdominowały naszą cywilizację. Z pewnością jednak nie możliwości zastosowań (które w wielu przypadkach trudno było nawet sobie wyobrazić), lecz ciekawość i ambicja były dla tych gigantów najważniejszym motywem. Na temat humanistyki nie mam odwagi się wypowiadać, ale bez wątpienia również i tutaj motyw poszukiwania prawdy i ciekawość badawcza są podstawowymi motorami. Widać to choćby na przykładzie historii, której znaczenie trudno przecenić, bo w końcu śmiało można powiedzieć, że określa nas jako ludzi. A przecież trudno twierdzić, że badania historyczne mają bezpośrednie zastosowanie w gospodarce.

W konkretnej sytuacji naszego kraju można podać co najmniej kilka ważnych powodów, dla których finansowanie badań podstawowych ma znaczenie szczególne. Aby nie nadużywać Państwa cierpliwości, wspomnę tylko o jednym z nich, który wydaje mi się najważniejszy, a – o ile mogłem się przekonać – był dotąd całko-

wicie lekceważony przez tzw. klasę polityczną. Chodzi o to, że Polska musi pozostać atrakcyjna dla najwybitniejszych umysłów. Trzeba bowiem koniecznie, przynajmniej w części, ograniczyć masowy odpływ talentów, jaki już ma miejsce, i jaki czeka nas, gdy uczestnictwo w Unii Europejskiej zostanie w pełni skonsumowane. Jest to niezbędny warunek uniknięcia zapaści *edukacyjnej*, a więc również kulturowej i cywilizacyjnej. Już nie mówię, że to w końcu sprawa naszej ambicji, naszej tożsamości i naszego bezpieczeństwa.

Trzeba więc wreszcie powiedzieć – pełnym głosem, w publicznej debacie, a nie tylko w prywatnych rozmowach – że w nauce najważniejsze są poziom i jakość badań, a nie – mniej lub bardziej iluzoryczna – „użyteczność”. Musimy przekonać społeczeństwo, że naprawdę dobra nauka jest zawsze – wcześniej czy później – użyteczna, a badania na niskim poziomie, nawet gdy mają etykietę użyteczności, są po prostu marnowaniem wysiłku i pieniędzy. Historia jest pełna przykładów, gdy zupełnie abstrakcyjne badania prowadziły do rewolucyjnych zmian w technice, a uparte ulepszanie tej samej technologii prowadziło w ślepy zaułek.

Problem polega na tym, aby to stanowisko właściwie sformułować, dobrze uzasadnić i dotrzeć z nim do społeczeństwa. Dlatego w tej debacie nie może zabraknąć przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych. Więcej, to oni winni nadać jej ton, bo ich autorytet jest nie do zastąpienia.

Żeby uniknąć nieporozumień, winienem zaznaczyć, że nie mam nic przeciwko badaniom bezpośrednio – gospodarczo lub społecznie – użytecznym. Występuję tylko przeciw faworyzowaniu badań, które reklamują

się możliwościami zastosowań praktycznych nie zwracając uwagi na jakość. Uważam bowiem, że tylko i wyłącznie poziom naukowy badań – a nie ich „użyteczność” – winien być kryterium oceny.

Zdaję sobie sprawę, że przedstawiony tu pogląd nie jest popularny, a w dodatku stoi w dramatycznej sprzeczności z dzisiejszym stanem rzeczy w naszym kraju. Jak już powiedziałem na wstępie, zupełnie inne sygnały płyną z ośrodków władzy i z mediów. Nauka nie związana bezpośrednio z zastosowaniami była dotąd ewidentnie marginalizowana. Musimy jednak uporczywie dążyć do zmiany tego nastawienia. Bez żadnej przesady uważam, że sprawa ta zadecyduje o naszej przyszłości. Nie chodzi zresztą tylko o finanse. Chodzi również o ważny i wyraźny znak dla młodego pokolenia badaczy. O wskazanie im właściwych priorytetów.

Otuchą napawa fakt, że te oczywistości docierają już także do Brukseli. Europa zaczyna rozumieć, że nauka to nie tylko ulepszanie telefonii komórkowej, internetu i aparatów cyfrowych (choć ciągle, z powodów taktycznych, nie chce tego otwarcie powiedzieć). Dowiedzieliśmy się niedawno, że VII Program Ramowy uwzględni już badania podstawowe i w dodatku planuje daleko idącą rozbudowę infrastruktury naukowej w całej Europie. Widzę w tym szansę dla polskiej nauki. Szansę, którą powinniśmy maksymalnie wykorzystać.

Pamiętajmy jednak, że na straży obecnych poglądów stoją niemałe siły biurokracji naukowej i politycznej, dobrze zaprawione w demagogii. To klan potężny. Jest więc duża szansa, że potrafi obronić swoją pozycję. W takim przypadku „bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”.

ANDRZEJ BOROWSKI  
AUTORYTET SPOŁECZNY  
HUMANISTYKI – AUTORYTET  
INTELIGENCJI

Okoliczności, w których dyskutujemy tu i teraz na temat humanistyki polskiej w jej stanie obecnym, ale i ze świadomością nawiązań, bardzo różnorodnych, do jej także urozmaiconego, wieloletniego dorobku, są dosyć szczególne. Uświadamia to sobie, jak sądzę, większość spośród obecnych. W przeciwnym wypadku nie byłoby w tym miejscu tak licznie zgromadzonego, reprezentatywnego dla humanistyki warszawskiej audytorium, które zresztą jest nie tylko po to, aby słuchać, ale też żeby swój namysł nad sytuacją humanistyki wypowiadać. Nie byłoby też, po tej stronie stołu, tak urozmaiconego zespołu przedstawicieli różnych nauk, nie tylko humanistycznych, jeśliby ktoś chciał trzymać się nomenklatury formalnej, urzędowej. Jest coś takiego „w powietrzu” ostatnich tygodni, czy nawet miesięcy, co skłania do namysłu nad humanistyką polską i nad jej różnymi, nieraz bardzo odległymi i pośrednio tylko skutecznymi oddziaływaniami. Przywołam jeden tylko, ale ważny dowód. Jest to mianowicie tekst, który chyba wszystkich tutaj obecnych już wcześniej poruszył, a który dopiero przed paroma godzinami, w dro-

dze do Warszawy w ostatnim, sobotnio-niedzielnym wydaniu „Gazety Wyborczej” przeczytałem. Jest to wypowiedź Profesor Barbary Skargi, której, nawiasem mówiąc, bardzo mi tutaj w naszym zespole brakuje. Właśnie pod wpływem tego artykułu postanowiłem zresztą zmienić istotnie tekst przygotowanego wcześniej wystąpienia. Chciałbym mianowicie, idąc za myślą Autorki, wyeksponować kwestię powiązań między stanem współczesnej humanistyki a rolą, lub nawet otwarciem mówiąc, autorytetem współczesnej inteligencji polskiej. Należę bowiem do tych, nie tak może znów nielicznych, jakby wydawać się mogło, którzy co do istnienia inteligencji, w sensie określonej grupy społecznej, wątpliwości nie mają, chociaż podzielam oczywiście, jak większość nas tu obecnych, rozmaite związane z tą pewnością niepokoje. Rozumiejąc zatem i akceptując elegijny (w najlepszym znaczeniu) ton refleksji Profesor Skargi nad kryzysem inteligencji polskiej, chciałbym zatrzymać się przez chwilę bodaj nad wspomnianymi przed chwilą związkami.

Aby namysł ów rozwinąć, trzeba zapewne humanistykę pojmować szerzej, niż tylko formalnie czyli zawodowo. Z drugiej jednak strony trzeba wydobyć taki wyznacznik owego pojęcia, który uchroniłby je przed rozmyciem się, rozplynięciem w dyletantyzm, i przed takim jego poszerzeniem, który pozbawi samo pojęcie (a i nas, humanistów zawodowych) podstawowej wiarygodności. Otóż bowiem mówiąc o związkach pomiędzy humanistyką a inteligencją i przejmując się zarazem z całą powagą pytaniem o rolę humanistów – inteligentów we współczesnym społeczeństwie naszym, dojdziemy do sprawy ostatecznie podstawowej, czyli właśnie do wiarygodności. Ta bowiem przesądza o autorytecie.

Przede wszystkim więc sprawa autorytetu. Dlaczego właściwie humanista ma mieć autorytet? I jeszcze coś ponadto, kto mu ten autorytet przyznaje? A na koniec: czy inteligent współczesny, podobnie jak niegdysiejszy – a o tym, jeśli komuś brakuje tej wiedzy z domu, z historii rodzinnej wyniesionej, to może sobie przeczytać tu i ówdzie – otóż czy inteligent wyczuwa wciąż potrzebę zdobycia kanonu edukacji humanistycznej właśnie jako „patentu” swej inteligencji?

Aby nie było nieporozumień: kwestię dowartościowania humanistyki podnoszę tutaj, przyjmując za rzecz oczywistą, że nie idzie mi równocześnie o marginalizację wykształcenia przyrodniczego, technicznego, „ścisłego” czy jak tam jeszcze chcemy to nazwać. Jakże przecież jako humanista miałbym nie doceniać wiedzy o naturze! Niedowartościowanie natomiast edukacji humanistycznej, które nas dzisiaj niepokoi, nie jest wcale problemem tylko pięknoduchowskim, jak ktoś niewtajemniczony w arkana polityki edukacyjnej mógłby sądzić. Wszak my, zawodowi humaniści, z tego przecież – ośmielę się wyznać – żyjemy: z kształcenia mianowicie humanistycznego (na rozmaitych szczeblach – od przedszkola po uniwersytet) ludzi, którzy sami tego chcą i którzy wierzą, że się to im do życia społecznego tak czy owak przyda. Czy to już wystarczy, aby mówić o autorytecie humanistyki? Oczywiście, że nie. Wróć zatem do kwestii owej zależności pomiędzy tożsamością uświadomioną inteligenta a jego wykształceniem humanistycznym. Otóż właśnie wykształceniem! Warto może przypomnieć tutaj choćby doraźnie, że tak często używane dzisiaj, a nawet nadużywane pojęcie humanistyki i humanisty jest stosunkowo młode, a w dodatku zmienne historycznie. Wiadomo, że wyraz „humanista”, któremu

przypisuje się rozmaite, czasem nawet podejrzane ideologiczne treści, oznaczał kilkaset lat temu w żargonie włoskich studentów zawodowego filologa, znawcę „humaniorów” – czyli przedmiotów podstawowych, „bliższych człowiekowi”, tj. języków starożytnych, a także antycznych tekstów poetyckich i retorycznych. Potem dopiero, i to z tego właśnie powodu, jako kompetentny w dziedzinie wiedzy o „człowieczeństwie” odwzorowywanym z literatury antycznej, stał się humanista kimś w rodzaju filozofa, chociaż od filozofa w sensie znów zawodowym, systemowym, zasadniczo się różnił. Podkreślam ową fachową kompetencję humanisty i humanistyki, bowiem wierzę, że na tym właśnie opierać się może i dzisiaj autorytet ludzi, którzy dyscypliny humanistyczne zawodowo uprawiają. Warto też przypomnieć, że powiązanie humanistyki z kanonem wykształcenia inteligentkiego jest jeszcze młodsze, bowiem Humboldtowskie rozumienie „humanizmu” (od niem. *Humanismus!*) odnosiło się do projektu wychowawczego raczej niż do filozofii (nawet jeśli myślimy tylko o antropologii filozoficznej), do idei pewnego procesu, która naśladując do pewnego stopnia antyczną *paideię*, właśnie w wykształceniu klasycznym (greka, łacina, historia i literatura antyczna) widziała sposób na wyprodukowanie przez niemiecką szkołę średnią wzorowego i użytecznego społecznie „inteligenta” – urzędnika, oficera, lekarza, duchownego itp. Ten wzorzec funkcjonował także w przedwojennym, a i do pewnego stopnia w powojennym również, systemie kultury polskiej. Dlatego właśnie niejeden ambitny lekarz, inżynier, ale z pewnością już każdy profesor wydziału przyrodniczego w uniwersytecie czy politechnice, czytał – a jeśli nie miał na to czasu, to przynajmniej żałował, że nie czyta –

teksty należące do kanonu literatury narodowej i światowej. Wpadało parę książek z tego kanonu mieć w domu, wpadało chodzić do teatru, wpadało rozumieć i wypowiedzieć poprawnie, z właściwym akcentem łacińską paremię, itd. No właśnie – wpadało, bo to był wyznacznik statusu społecznego, wciąż jeszcze związany śladami bodaj jakiejś kompetencji w zakresie kultury literackiej. Zostawmy snobizm na boku, choć dużo bym dzisiaj dał za taki snobizm! W każdym razie, cała ta koncepcja inteligenta, tj. w teorii przynajmniej, najbardziej uświadomionego i upodmiotowionego członka społeczności obywatelskiej, uwzględniała m.in. wykształcenie humanistyczne rozumiane jako przyswojenie sobie określonego kanonu kultury, w nim zaś również i kanonu lektur. Ów kanon kultury można ostatecznie sprowadzić do zasady, że umie się czytać, pisać i wypowiadać komunikatywnie własne myśli, przede wszystkim zaś, że się chce czytać i mówić, i wreszcie – że się człowiek tym, co czyta i co sam mówi, z powagą przejmuje. Wydaje mi się, że taka formuła stanowić może punkt wyjścia dla debaty o humanistyce jako o nauce także bezinteresownej, motywowanej pragnieniem poznania rzeczywistości i dążeniem do prawdy o niej, jak to pięknie przed chwilą wyraził Pan Profesor Białas.

Co zaś do owego rozróżnienia, pomiędzy naukami „humanistycznymi” i „przyrodniczymi”, o których wspomniała na wstępie Pani Profesor Sarnowska-Temeriusz, a jest ono ważne, bo urzędowe i praktyczne zarazem, to myślę, że nie powinno ono mechanicznie skłaniać nas tutaj – przedstawicieli obydwu tych dziedzin – do rywalizacji pomniejszającej wzajemnie nasz autorytet. Przypomnijmy, że dla Platona *technites*, to był człowiek, który po prostu coś umiał, jeśli nie zrobić, to przynaj-

mniej wymyślić – zatem dzisiejszy „uczony”, coś „umiejący” – stąd nazwa naszej Akademii Umiejętności właśnie! Uprawiamy zatem zawodowo rozmaite pod względem metodologicznym „umiejętności” – „*téchnai*” czyli „*artes*”, ale jest kilka rzeczy, wokół których skupiamy się wszyscy w jednym kręgu. Jedną z tych rzeczy jest właśnie tekst – czytany i wypowiedzany, w każdym razie reprezentatywny dla języka kultury, którym się porozumiewamy. To właśnie dlatego wciąż pamiętamy o Homerze i o jego następcach, bo pojęcia przez nich utworzone są nam potrzebne do rozmowy o sprawach najistotniejszych, jak miłość, szczęście, rozpacz czy godność, albo przynajmniej do zabawy w hobbitów czy w „gwiazdne wojny”. A oprócz tego, z tej właśnie przyczyny nie porzuciliśmy jeszcze dotąd, przynajmniej nie wszyscy, klasycznej retoryki. Jeśli profesor fizyki, obecny tutaj Pan Profesor Wróblewski jest humanistą, to właśnie dlatego, że tak pięknie (czyli zarazem funkcjonalnie!) wypowiada swoje myśli, wszystkim słuchaczom sprawiając prawdziwą przyjemność. To właśnie jest lekcja pogładowa na temat przydatności wykształcenia humanistycznego, także w uprawianiu zawodu formalnie nie-humanistycznego.

Obserwacja ta zbliża nas znowu i tym razem na koniec do kwestii autorytetu humanistyki. Żywotność kanonu kulturowego: retorycznego i lekturowego, o którym mówiłem, o tym autorytecie nie przesądza. Zbyt oczywiste jest dzisiaj właśnie dla zawodowego humanisty „obsunięcie” się pokładów tradycji narodowej, europejskiej i uniwersalnej, aby o autorytecie opartym na ciągłości owej tradycji można było mówić bez zasadniczych zastrzeżeń. Dotyczą one przede wszystkim poznania i opisującego nasze konstatacje dyskursu. Jest rzeczą

niemożliwą posługiwanie się cytatem z jakiegoś tekstu, albo całym tekstem na zasadzie przywoływania autorytetu – pamiętajmy, że to pojęcie: *auctoritas* wiąże się etymologicznie i rzeczowo właśnie z „autorem”. Jakże natomiast trudno dzisiaj mówić o „autorze” pierwotnym w sensie romantycznym i o jego „autorytecie”! Jakże trudno powoływać się na „wielkie narracje” o Bogu, o człowieku i o rzeczywistości, kiedy uświadamiamy sobie coraz lepiej naszą o nich niewiedzę. Cóż jednak począć – przedmiotem i zarazem narzędziem pracy humanisty są właśnie narracje. Może to jeszcze jeden, i to najważniejszy powód, aby humanistykę kojarzyć z tym właśnie, „co ludzkie”? W każdym razie współczesna antropologia filozoficzna stawia humanistycę takie pytania, które dotyczą nie tylko erudycji, ale spraw dla człowieka najżywotniejszych. Są to pytania o prawdę, o tożsamość, o status kategorii moralnych i estetycznych. Jeśli na te kwestie odpowiada humanista dobrze wykształcony, kompetentny, znów, jak przed pięćset laty, „fachowiec od humaniorów”, to będzie on wysłuchiwany z uwagą. A ta uwaga oznacza autorytet humanistyki.

Poruszona wcześniej kwestia wykształcenia humanistycznego, które pozwala zrozumieć rzeczywistość i umożliwia komunikację, każe nam wrócić na koniec do tematu inteligencji jako formacji kulturowej. Jeśli bowiem już teraz z mniejszymi oporami czy zastrzeżeniami rozumieć będziemy pojęcie „inteligencji humanistycznej” w sensie poszerzonym, poza-zawodowym, więc może przede wszystkim w sensie etyczno-estetycznym, to warto się zastanowić także i nad humanistyką jako kulturowym systemem komunikacji międzyjęzykowej i międzyetnicznej. Podkreślam ów epitet „kulturowy”, funkcjonalność bowiem tego systemu zależy

wyłącznie od jego „uprawy” (łac. *cultura*). Z aktualnych jednak obserwacji, które są udziałem każdego z nas tutaj i które tak przenikliwie i dramatycznie sformułowała Profesor Skarga, wynika, że „uprawie” tej więcej czynników zagraża, aniżeli sprzyja. Są przecież konkretne przyczyny w systemie zarządzania edukacją i zarządzania kulturą, które sprawiają, że utożsamianie się z inteligencją humanistyczną oznacza dla wielu z nas zarazem (a czy być musi?) identyfikację z jakąś nieomalże mniejszością społeczną, tyle że nie seksualną czy wyznaniową, ale etyczno-estetyczną! I to właśnie poczucie więzi z mniejszością, choć przecież dla każdego, kto zna historię wcale nie zaskakujące, budzi gorycz i niepewność. Tymczasem edukacja humanistyczna rozumiana tak, jak to w skrócie wcześniej przedstawiłem, czyli także wychowawczo, jest najlepszą, najważniejszą i najtańszą inwestycją współczesnego państwa. Taka będzie Rzeczpospolita, jakie jej obywatele „chowanie”. Nie daj Boże, aby była Ona w przyszłości, i to już niedalekiej, taka, jakie to „chowanie” było dotąd i jakie w przeważającej mierze jest jeszcze teraz!

JERZY MARIAN BRZEZIŃSKI  
CZY POLSCE POTRZEBNE SĄ NAUKI  
HUMANISTYCZNE I SPOŁECZNE?

1.

Jesteśmy obywatelami „Stanów Zjednoczonych” Europy, upajamy się (czy jeszcze?) możliwością swobodnego przekraczania granic i możliwością spotkania się w wiedeńskiej kawiarni, berlińskiej galerii czy sorbońskiej czytelnicy. Jesteśmy Europejczykami. Studiując, kształcąc studentów i prowadząc badania naukowe też należymy do wielkiej europejskiej wspólnoty akademickiej. To także nasi rektorzy podpisali w 1988 roku, zanim jeszcze runął berliński mur, w dziewięćsetlecie powstania najstarszego europejskiego uniwersytetu *Università di Bologna* słynną *Magna Charta delle Università* [Wielką Kartę Uniwersytetów], która mogłaby być konstytucją uniwersytetów europejskich. To właśnie w niej zapisano, iż:

Swoboda prowadzenia badań naukowych i kształcenia jest najbardziej fundamentalną zasadą życia uniwersyteckiego, a rządy i uniwersytety, w miarę swoich możliwości, muszą zapewnić poszanowanie dla tego podstawowego warunku (...) przekracza on granice geograficzne i polityczne oraz zaspokaja istotną potrzebę wzajemnego poznania i oddziaływania różnych kultur.

Idee ujęte w *Karcie Bolońskiej* odżyły po latach w porozumieniu ministrów do spraw szkolnictwa wyższego, tzw. *Deklaracji Bolońskiej* (1999) oraz *Procesie Bolońskim*, a także w *Deklaracji Praskiej* (2001), powołującej „europejski obszar szkolnictwa wyższego” (*European Higher Education Area*). Jej wizja i wizja Europy „silnych uniwersytetów dla silnej Europy” zrodzona w umysłach sygnatariuszy *Deklaracji z Glasgow* (*Strong Universities for a Strong Europe*, 2005) propaguje bardzo ważną dla każdego Europejczyka ideę. Oto siła i pomyślność Zjednoczonej Europy, i ta mierzona wskaźnikami ekonomicznymi, i ta wyrażająca się dobrostanem jej obywateli, niejako wprost zależy od kondycji nauki i szkolnictwa wyższego. Pokazały to dobitnie wyniki badań zespołu Pana Profesora Janusza Czapińskiego prowadzone od kilku już lat nad dobrostanem Polaków. W punkcie 3. Preambuły *Deklaracji z Glasgow* pisze się wprost o tym, że Europa potrzebuje „silnych i kreatywnych uniwersytetów” dla budowy „europejskiego społeczeństwa wiedzy” (*European knowledge society*).

W tym miejscu nasuwają mi się silne skojarzenia z ogłoszoną przed laty, przez wielkiego myśliciela Karla Poppera, koncepcją „społeczeństwa otwartego” (*open society*). Kształtowanie „społeczeństwa wiedzy” czy „społeczeństwa otwartego” poprzez otaczanie szczególną troską nauki i szkolnictwa wyższego to budowanie silnych fundamentów pod europejski gmach demokracji i tolerancji. To także skuteczny instrument blokowania mechanizmów kształtowania się – w rodzinie i w szkole – „osobowości autorytarnych” (*authoritarian personality* według Theodore Adorno) i „umysłów zamkniętych” (*closed mind* według Milтона Rokeacha). To wreszcie jedna ze skutecznych dróg przygotowania, wkraczają-

cego na scenę dorosłego życia, młodego pokolenia do współlistnienia w Europie bez granic politycznych, bez uprzedzeń etnicznych, bez ksenofobii, ale w duchu tolerancji na odmiennosc i do życia w demokracji.

W głośnym eseju – *Wychowanie po Oświęcimiu* – Theodore W. Adorno, mając w pamięci obraz Holocaustu, zastanawiając się nad nowym sensem wychowania „po Oświęcimiu”, doszedł do następującej konstatacji, iż może ono „mieć w ogóle sens jedynie jako wychowanie do krytycznej autorefleksji”, a także, że „jedyną rzeczywistą siłą, zdolną przeciwstawić się formule Oświęcimia, byłaby autonomia – jeśli mi wolno posłużyć się wyrażeniem Kanta; zdolność refleksji, samostanowienia, niewspółuczestniczenia”. Czy zatem tu, w Polsce, parafrazując słowa T. W. Adorno, „po Jedwabnem” możemy myśleć, w naszych codziennych kontaktach z młodzieżą, jedynie w kategoriach postępu nauk ścisłych, o wzroście technologicznym i gospodarczym jako wskaźnikach rozwoju kraju zależnych od poziomu naszych uniwersytetów?

Należy strzec się przed popełnieniem błędu (tak, właśnie błędu!) nastawienia się na promocję jedynie badań mających bezpośrednie zastosowanie w praktyce (i tu zgadzam się z tym, co powiedział Pan Profesor Andrzej Białas) i na kształcenie „fachowców” o umiejętnościach przydatnych, „od zaraz”, w sferze praktyki produkcyjnej.

Postępujący dziś, na skalę dotychczas nie spotykana, rozwój gospodarki, który wymaga, aby uniwersytet dostarczał coraz większej liczby gruntownie, ale też i wąsko przygotowanych specjalistów stawia przed nim nowe zadania. Jednakże zaawansowane kształcenie specjalistów zdolnych sprostać oczekiwaniom nowoczesnych

działów gospodarki grozi odejściem uniwersytetu od jego tradycyjnych, przez wieki utrwalanych zadań – kształcenia na poziomie ogólnym w celu poznania prawdy. Narzucana z zewnątrz konieczność wąskiej specjalizacji prowadzi do nieuchronnego przekształcania uniwersytetu w szkołę zawodową. Grozi – jak to ujął hiszpański myśliciel José Ortega y Gasset – „barbarzyństwem specjalizacji” (*Bunt mas i inne pisma socjologiczne*). Swoistym „produktem” współczesnych uniwersytetów są „specjaliści”. To o nich pisał Ortega y Gasset:

Przedtem ludzi dzieliło się w sposób prosty, na mądrych i głupich, na mniej lub bardziej mądrych i mniej lub bardziej głupich. Ale specjaliści nie można włączyć do żadnej z tych kategorii. Nie jest człowiekiem mądrym, bo jest ignorantem, jeśli chodzi o wszystko, co nie dotyczy jego specjalności; jednak nie jest głupcem, ponieważ jest „człowiekiem nauki” i zna bardzo dobrze swój mały wycinek wszechświata. Trzeba więc o nim powiedzieć, że jest mądro-głupi.

## 2.

Przywołana wyżej *Deklaracja z Glasgow* wyraźnie akcentuje konieczność efektywnego wspierania przez rządy państw członkowskich UE szkolnictwa wyższego i badań naukowych.

W ważnym i głęboko mądrym, w moim mniemaniu, odczycie wygłoszonym 1. października 2000 r. z okazji 600-lecia odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, Pan Profesor Bronisław Geremek wskazywał na:

(...) wzajemne zobowiązanie uniwersytetu i państwa. U n i w e r s y t e t u – ż e b y b y ł z n a k o m i t y w n a u c z a n i u i w b a d a n i u, ż e b y w ł a ś c i w i e o d p o w i a d a ł n a w y z w a n i e c z a s u, ż e b y n a u c z a ł o d r ó ż n i a n i a p r a w d y o d n i e p r a w d y i d o b r a o d z ł a. P a ń s t w a – ż e b y s z c z o d r z e ł o ż y ł o n a u n i w e r s y t e t, b o t o n a j b a r d z i e j r e n t o w n a z e w s z y s t k i c h i n w e s t y c y j i i d l a t e-

go, że jest to jego powinność. Miejsce Polski w Europie – a także wielkość, do której ma prawo – od tego właśnie zależy (*Po co nam uniwersytet*, podkr. moje).

Trzeba tedy (i jestem o tym głęboko przekonany) – także w takiej dyskusji jak ta, dziś toczona – zwrócić uwagę na dwa porządki. Przy czym, co trzeba też podkreślić, te dwa porządki są ze sobą nierozzerwalnie powiązane i nie można ich rozdzielać tak, jak nie można w pracy badacza rozłącznie traktować dwóch kontekstów: *kontekstu odkrycia* i *kontekstu uzasadnienia*. A myślę o *porządku nauki* i *porządku edukacji*. Oba porządki się idealnie uzupełniają. Od stanu nauk zależy stan edukacji. Od stanu edukacji zaś zależy stan nauk. I dobrze by było, gdyby z owego powiązania zdawali sobie sprawę ci, którzy decydują o rozdziale środków i na naukę, i na edukację.

Chciałbym sięgnąć pamięcią do nie tak znowu odległej przeszłości, czyli do roku 1990, kiedy to na fali powszechnego entuzjazmu, ale i na fali mądrego wówczas zarządzania resortem edukacji przez ówczesnego Ministra Edukacji, Pana Profesora Henryka Samsonowicza (i Pana Profesora Janusza Grzelaka, bezpośrednio kierującego resortem szkolnictwa wyższego) powstały ramy formalne dla tego, aby można było wyjść poza ciasny gorset niewielkiej liczby państwowych uczelni, które wówczas funkcjonowały (a ich liczba, przypomnijmy, nie przekraczała setki) i kształciły – także studentów nauk humanistycznych i społecznych. To na początku lat dziewięćdziesiątych powstały pierwsze (poza „kościelnymi szkołami wyższymi”) niepaństwowe szkoły wyższe. Otóż, ta liczba szkół – która później rozwinęła się w sposób, przynajmniej dzisiaj, niekontrolowany – pozwoliła jednak dokonać rewolucyjnego skoku w za-

kresie kształcenia młodzieży i to przede wszystkim w obszarze nauk humanistycznych i społecznych. Jeżeli dzisiaj mówimy o kształtowaniu „europejskiego społeczeństwa wiedzy”, to nasz wkład, wkład nowego formalnie państwa europejskiego z tych krajów, które przyłączyły się do wspólnoty europejskiej, był bodajże największy. Nasz wskaźnik scholaryzacji też bardzo istotnie wzrósł. A przecież gdyby wkład we wzrost tego wskaźnika podzielić wedle działów edukacji, to udział nauk społecznych i humanistycznych był największy.

Polska jest krajem niebogatym i nie stać nas na rozwój bardzo skomplikowanych technologii, ale stać nas za to na dobre kształcenie, czy nawet na bardzo dobre kształcenie w obszarze nauk społecznych i nauk humanistycznych. Duże zainteresowanie młodzieży tymi naukami sprawia, że mury uczelni nie są puste. Powinno nas to cieszyć. Ale jest też coś, co nas martwi. Chodzi o udział państwa w kształceniu w zakresie tych dziedzin iłożenie środków finansowych na ich rozwój. A przecież, jeżeli chcemy – a zależy nam na tym – aby młodzież mieć światłą i dobrze wykształconą, czującą i rozumiejącą więź kulturową ze swoim państwem, to musi też państwo na tołożyć stosowne środki. Państwo nie może odwracać się od tych, bez których nie będzie ono miało dobrej przyszłości. Niestety, początkowy entuzjazm związany z powołaniem demokratycznej instytucji, która zarządzała nauką znacznie osłabł. Mam na myśli Komitet Badań Naukowych, który – niestety – zbiurokratyzował się w Ministerstwo Nauki i Informatyzacji, a następnie się rozpadł. Można powiedzieć, że wysiłek Pana Profesora Witolda Karczewskiego i jemu podobnych zapaleńców został zmarnowany przez tych, którym marzyło się kierowanie ministerstwem i którzy w de-

mokratycznie powoływanym KBN-nie widzieli istotną przeszkodę w sprawnym zarządzaniu nauką w Polsce.

Dziś zbyt skromne środki na naukę są przede wszystkim kierowane w stronę tzw. bezpośrednio użytecznych nauk. To potrzeby mało udolnej polskiej gospodarki mają być zaspokajane także przez bardzo skromne środki kierowane przez Sejm RP na naukę. Chodzi mi o to wszystko, co powiedział Pan Profesor Andrzej Białas. Ja się w pełni pod tym podpisuję, gdyż owa „użyteczność” nauki, od której miałyby być uzależnione finansowanie badań naukowych jest też użytecznością, ale inaczej pojmowaną, nauk humanistycznych i społecznych. Jest nią w zakresie kształtowania postaw, w zakresie rozwoju tożsamości i utrwalania tożsamości kulturowej. Mamy wspaniałą młodzież. Ta wspaniała młodzież chce się kształcić, ale my jako państwo nie zapewniamy należytych warunków, aby to kształcenie było na stosownie wysokim poziomie. Z roku na rok, ciężar kształcenia na poziomie wyższym przenoszony jest w coraz większym zakresie na barki obywateli. Tak też widzę wzrastający (ale, niestety, tylko pod względem ilościowym) udział sektora niepublicznego szkolnictwa wyższego w kształceniu na poziomie wyższym w Polsce. Do czego dochodzi – jeszcze na małą skalę? Dochodzi do tego, że najzdolniejsza młodzież ucieka do uniwersytetów zachodnich i nie myśli o powrocie w rodzinne strony. To zjawisko ucieczki zdolnych widoczne jest też na poziomie kształcenia doktorskiego. A przecież można sobie wyobrazić i taki model, że to nasze uniwersytety przyciągają młodzież z innych państw. Ale jak mogą przyciągać, jeżeli nie są należycie dofinansowane?

Państwo powinno – o czym już wspomniałem –łożyć na rozwój wszystkich nauk, także humanistycznych

i społecznych, gdyż bez nich, bez ich rozwoju będziemy powoli tracić swoją tożsamość. Dlatego stawianie znaku równości między nauką, a naukami technicznymi, czy między nauką, a naukami ścisłymi, to jest fałszywe stawianie znaku równości. Nauka, to także nauki humanistyczne i społeczne. To one też gwarantują należyte kształcenie nauczycieli młodzieży w zakresie nauk ścisłych i technicznych. Bez wywiązywania się należyście z owej roli nie sposób mówić potem o wywiązywaniu się z roli specjalisty tej osoby, którą wykształcimy. Powiem więcej, nie sposób mówić o dobrym wywiązywaniu się z roli obywatelskiej tego, który kończy nasze studia. Myślę zatem, że nauki humanistyczne i nauki społeczne powinny być w centrum polityki państwowej i w centrum polityki edukacyjnej państwa. Jeżeli będziemy przesuwac je na dalsze miejsca, ponieważ będzie powodowała nami owa chęć sprostania bezpośredniej użyteczności, to będziemy niszczyć samych siebie pod względem kulturowym. Należyta dbałość o stan nauk i edukacji to nasz patriotyczny obowiązek.

TOMASZ CHACHULSKI  
NAUKI HUMANISTYCZNE  
WOBEC WSPÓŁCZESNEJ EDUKACJI,  
CZYLI O REJONACH NIEZGODY

Nauki humanistyczne wymagają rzeczywistej, niezafalszowanej ciągłości, swoistego „przekazania” i „dziedziczenia”, w których obrębie dochodzi do utrwalenia tych jakości, które dla humanistyki wydają się najważniejsze. Miejscem owego pokoleniowego „przekazania” fundamentów myślenia o człowieku, a także podstawowych idei humanistyki, jest najszerzej rozumiany proces kształcenia. Dyskusja w sprawie miejsca nauk humanistycznych w świecie współczesnym wymaga, w moim przekonaniu, niezbędnie uważnego spojrzenia na ponad dwudziestoletni proces prowadzenia kolejnych pokoleń ku tym naukom – tyle bowiem trwa dziś pełny cykl wychowania i kształcenia.

Doświadczenia ostatnich kilkunastu lat wyraźnie wskazują na erozję szkolnej humanistyki. Ponieważ niniejsza wypowiedź ma przede wszystkim charakter krytyczny, więc już na wstępie chciałbym zaznaczyć, iż w ciągu tych lat w całym obszarze kształcenia doszło do bardzo wielu pozytywnych zmian, wiele anachronicznych obyczajów szkolnych i akademickich odeszło do lamusa, a unowocześniona edukacja zyskała szansę

na nadążenie za bardzo szybkimi zmianami społecznymi, jakie nastąpiły po roku 1989. Losy szkolnej humanistyki budzą jednak uzasadniony niepokój.

Powołanie nowego Ministerstwa o tak szerokim zakresie uprawnień, a zatem o tak znaczących możliwościach oddziaływania, doprowadziło do spotkania podmiotów zajmujących się nauką oraz wychowaniem i kształceniem na wszelkich poziomach: od szkoły podstawowej po studia doktoranckie. Zestawienie działań reformatorskich we wszystkich tych obszarach pozwala jednak zobaczyć ich niepokojąco analogiczny charakter, dający się określić przy pomocy takich haseł jak: standaryzacja, utylitarność, pragmatyzm, minimalizacja wiedzy ogólnej na rzecz wykształcenia zawodowego, niefaworyzowanie nauk humanistycznych (mówiąc ogólnie) oraz próby sprowadzenia wykształcenia akademickiego do przygotowania absolwentów do przyszłej pracy zawodowej na poziomie najbardziej elementarnym, co zbliża uniwersytety do zadań stawianych zwyczajowo wyższym szkołom zawodowym. Sądzę, że w dyskusji o przyszłości polskiej nauki w wymienianych tu dzisiaj obszarach nie można abstrahować od problemów kształcenia, choćby z tego względu, że ci, których uczymy dzisiaj, za kilka lat trafią do nas jako pracownicy nauki i przeniosą swoje szkolne i akademickie doświadczenia na pole badań naukowych.

Rozpocznę od bardzo wczesnego poziomu nauczania, a mianowicie od gimnazjum. Po kilku latach od chwili jego wprowadzenia widać, iż projektodawcom zabrakło spójniej koncepcji tej fazy kształcenia, przede wszystkim oczywiście w zakresie nauk humanistycznych, co wywołuje chaos i utrudnia właściwe wykorzystanie trzech lat nauki. W środowiskach pedagogów mówi się

coraz częściej o zmarnowaniu tego czasu w systemie nauczania. Doniesienia prasowe o prowokowaniu nauczycieli, o aktach przemocy ze strony młodzieży itp. sugerują, iż Ministerstwu nie udało się zorganizować świadomości uczniów gimnazjum, że młodym ludziom nie zaproponowano nic na tyle atrakcyjnego, by skierować ich uwagę w kierunku wyznaczanym przez szkolny program i jego nauczycielską realizację.

W liceum skrócono czas nauki z blisko czterech lat do trzech, następnie do dwóch i pół roku oraz stopniowo obniżono rangę egzaminu dojrzałości z języka polskiego poprzez marginalizację matury wewnętrznej. O ile mi wiadomo, rozważany jest obecnie w Ministerstwie projekt uczynienia z matury wewnętrznej z języka polskiego próbnego egzaminu dla uczniów trzeciej klasy liceum, egzaminu przeprowadzanego między lutym a kwietniem, czyli wyłączonego z matury właściwej. Standardowe zadania o charakterze testowym wypierają samodzielną pracę, widzenie procesów literackich, umiejętność kształtowania spójnej wypowiedzi o dziełach artystycznych i procesach kulturowych – pozwalają narzucić szkole minimalistyczny i uniformistyczny charakter nauczania, podporządkowanie testowym sprawdzianom preferującym proste i jednoznaczne odpowiedzi w trudnych i złożonych sprawach związanych z artystycznym kształtem dzieła literackiego czy procesów kulturowych. Swoistym probierzem sytuacji w szkolnej polonistyce jest Olimpiada Literatury i Języka Polskiego. Tu obserwujemy w ostatnich latach nie tylko zmniejszenie liczby uczestników, ale także znaczące zmniejszenie liczby szkół wysyłających uczniów na zawody. Olimpiada, wzięwszy pod uwagę program zawodów, jeszcze kilka lat temu powszechnie dostępna

dla maturzystów, dziś staje się dla nich zbyt trudna. Obserwujemy zmniejszenie obszaru wiedzy z historii literatury i swoisty pragmatyzm przygotowania. Młodzi ludzie wiedzą znacznie lepiej niż dawniej, co jest przedmiotem postawionego im konkretnego zadania, a ich przygotowanie jest lepsze, bardziej staranne, głębsze. Ale z drugiej strony ich wiedza ogólna i odczytanie są wyraźnie mniejsze, co powoduje, że pewne pola humanistyki, wymagające na przykład zestawienia faktów z bardziej zróżnicowanych obszarów wiedzy, odczytania kontekstów, wykorzystania porównań – są przed nimi zamknięte. Trudno odwołać się do szerokiej wiedzy i odczytania, którą powinni wynieść (i wynosili przez dziesięciolecie) ze szkoły.

Można powiedzieć, że szkolnictwo średnie zmieniło swoje zadania, że – inaczej niż dawniej – nie wprowadza już w historię literatury ani w inne dziedziny humanistyki jako w dyscypliny akademickie. Jest to jednak nieporozumienie. Nie ma innej instytucji powołanej do wprowadzenia w obszar własnego dziedzictwa kulturowego, pamięci, przeszłości, dorobku kulturowego i literackiego – niż właśnie szkoła.

Wreszcie studia polonistyczne. Dwa stopnie kształcenia wyższego, wprowadzone pod hasłem tzw. karty bolońskiej, czyli trzyletnie studia licencjackie i dwuletnie uzupełniające magisterskie były niefortunnym pomysłem, nie są jednak znaczącym zagrożeniem dla procesu kształcenia. Znacznie groźniejsze jest uznanie, że absolwent trzyletniego licencjatu, a więc „pół-polonista”, może poprowadzić zajęcia z języka polskiego w szkole podstawowej czy gimnazjum, dokonać wprowadzenia w język ojczysty i w obszar kultury narodowej, ale także w podstawowe kategorie z zakresu poetyki czy ro-

zumienia dzieła literackiego. W myśl ustaleń właściwych instytucji w połowie wykształcony lekarz nie jest lekarzem i nie może leczyć, gdyż zachodzi obawa śmierci pacjenta w wyniku niekompetencji specjalisty. Architekt po czterech latach kształcenia (tu też wprowadzono studia inżynierskie jako odpowiednik licencjatu) nie uzyska jeszcze uprawnień do projektowania, ponieważ nie chcemy, aby dach budynku runął na głowy mieszkańców. Polonista po trzech latach studiów (na przykład zaocznych, prowadzonych także w prywatnych szkołach wyższych w małych miastach, w których brak bibliotek i odpowiednich wykładowców) może uczyć w gimnazjum bądź szkole podstawowej – kształtować społeczne poglądy na kulturę, zadania humanistyki, dokonać pierwszego wprowadzenia w rozumienie wielkich dzieł literackich, kształtujących od stuleci tożsamość nowożytnej Europy. Efektów możemy się tylko domyślać, ale publicystyczna formuła „śmierć humanistyki” nie musi być tylko efektownym zwrotem retorycznym.

Nowe rozporządzenie Ministerstwa Edukacji i Nauki stanowi, że absolwent innego kierunku studiów może uczyć języka polskiego po czterystugodzinnym kursie, a w związku z tym różne uczelnie wyższe otwierają filologię polską jako dodatkową specjalność w ramach kierunku nauczycielskiego. Nie będę wymieniał nazw konkretnych państwowych uczelni wyższych, które nie mając polonistyki w swojej ofercie kierunków kształcenia, wprowadziły ją, zatrudniając jednego adiunkta i kilku magistrów jako jedynych nauczycieli akademickich. W ten sposób przygotowany jest kurs języka polskiego, który także uprawnia do uczenia w szkole.

Wspomnianym zjawiskom towarzyszą kolejne zmiany w tzw. podstawach programowych, standardach

nauczania, systematycznie modyfikowanych, a przede wszystkim – ograniczanych. Wydaje się, że w obecnej sytuacji, po kilkunastu latach reformy, jedną z najpilniejszych spraw – także spraw społecznych – jest uporządkowanie kształcenia w przedmiotach humanistycznych jako pewnej całości, obejmującej program od pierwszych klas szkoły podstawowej po studia doktoranckie włącznie. Musi mu towarzyszyć takie przygotowanie działań z zakresu metodyki nauczania, w którym jasno zostaną postawione zadania i określone miejsce poszczególnych etapów kształcenia w całości formowania humanistycznego. Sądzę, iż jeśli zaniechamy tych działań, nasze rozważania o miejscu nauk humanistycznych we współczesnej Polsce stracą swoje znaczenie – odnosić się będą bowiem jedynie do przeszłości.

Ponieważ padł już apel o kontynuowanie spotkań analogicznych do obecnej dyskusji panelowej, chciałbym zaproponować, aby rezultatem obecnych rozpoznań było sformułowanie w imieniu środowisk humanistycznych wezwania – do Ministra Edukacji i Nauki lub do Prezydenta Rzeczypospolitej – o uporządkowanie w nieodległej przyszłości sprawy pewnej równoległości kształcenia humanistycznego jako całości i odpowiedniej troski wobec działań naukowych.

HENRYK DOMAŃSKI  
NIEKTÓRE ZAGROŻENIA  
PROFESJONALIZACJI

Skoncentruję się na słabościach polskich nauk społecznych, a właściwie na socjologii, z zastrzeżeniem, że nie znam sytuacji w innych dziedzinach i nie wiem, na ile moje uwagi dotyczą szerszego problemu. Teza jest następująca: wystąpiło kilka negatywnych zjawisk w sposobach uprawiania nauki, wynikających z generalnego problemu z funkcjonowaniem nauki w Polsce. Wśród generalistów wymieniałbym niedoinwestowanie działalności badawczej i zaniedbywanie nauki na rzecz innych sfer przez rząd i ustawodawców. Słabości odnoszą się do niedostatków profesjonalizmu. Przez profesjonalizm rozumiem umiejętność wskazywania oryginalnych problemów, stawiania ważnych pytań i dobierania takich narzędzi badania rzeczywistości, żeby te pytania najlepiej rozstrzygnąć. Wolno mieć nadzieję, że przez zasygnalizowanie problemu uda się nam uwydatnić ograniczenia systemowe, w jakich przyszło nam żyć i być może spowodować korzystne przeciwdziałania.

Najlepszych wzorów dostarcza tu socjologia zachodnia – tam powstała – i do tego wzoru najlepiej się odnieść. W ciągu ostatnich kilkunastu lat sytuacja uległa

zmianie na gorsze. Negatywny zwrot nastąpił po zmianie systemu – zawsze jest tak, że zmiany mają różne aspekty. Zróbmy rzut oka w przeszłość. Gdy – dajmy na to – Jan Szczepański lub Stanisław Ossowski analizowali rzeczywistość społeczną, nikt nie mógł mieć do nich pretensji, że nie stosowali oni np. modeli równań strukturalnych albo modeli logarytmiczno-liniowych, ponieważ narzędzi tych jeszcze wtedy nie było. Natomiast, zgodnie z zasadami obowiązującymi w nauce, podejmowali oni wszystkie kroki, które są koniecznym warunkiem odkrycia naukowego – co jest ostatecznym celem nauki. Były to czasy, w których posługiwano się w Polsce raczej nowoczesnym – według ówczesnych kryteriów – warsztatem badawczym. Jak zwykle, byli badacze lepsi i gorsi, ale mam wrażenie, że – na ogół – wszystkim im zależało, żeby to robić porządnie. Było tak od drugiej połowy lat 50. Co się zmieniło na gorsze?

Poniższa opinia jest oceną ogólną. Podstawowy błąd nazwałbym błędem „zaniechania”. Analizy, książki, artykuły, prezentacje robione są tak, jakby autor jak chciał je jak najszybciej zakończyć. Po co? Być może autorom – zaryzykuję hipotezę – zależy na posiadaniu tak wielu publikacji, jak to jest w ograniczonym przedziale czasu, możliwe. Występujemy w wielu innych, absorbujących nas rolach i czasu na systematyczne i wnikliwe analizy nie mamy. Coraz bardziej liczy się ilość więc poprzestajemy na małym, zakładając niesłusznie, że i tak nikt tego nie czyta i nie będzie nas oceniał w przyszłości. Co do korzystania z warsztatu analitycznego – chodzi o metody ilościowe – to funkcjonuje ono na zasadzie książki kucharskiej. Na ogół trudno w tych analizach znaleźć argumenty przekonujące czytelnika, że autor znalazł akurat najlepsze narzędzia do rozwiązania rozpatrywa-

nego problemu. Należy nadmienić, że od kilkudziesięciu lat socjologia ilościowa jest w ciągłym rozwoju. Próbując śledzić te rzeczy na bieżąco, powiedziałbym, że analizy prezentowane (głównie) przez socjologów z USA, Anglii, Holandii i Niemiec postępują w pożądanym kierunku: 1) coraz lepszemu uzasadnianiu ważności i oryginalności podejmowanych problemów (tzw. teoria); 2) zwiększania precyzji pomiaru; 3) dbałości o przejrzystość metodologii dochodzenia do wniosków – tak, żeby każdy, kto chce, mógł te analizy (w celu sprawdzenia) powtórzyć. Różne techniki statystyczne (że posłużę się przykładem z własnej branży) są coraz bardziej dostępne, trzeba tylko chcieć i zainwestować czas, żeby się ich stosowania nauczyć.

Polscy socjologowie tego nie robią. Jeżeli pierwszym mankamentem jest błąd zaniechania, to drugi dotyczy braku orientacji na odkrywanie, albo też (mówiąc inaczej) potrzeby, żeby powiedzieć coś naprawdę nowego. W gruncie rzeczy, na czym polega to *novum* w badaniach socjologicznych, bez którego to elementu nie istnieje prawdziwa nauka? *Novum* jest tylko pozorne – polega ono na tym, że z roku na rok robimy coraz to nowe badania, pokazujemy jakieś zmiany i nazywamy to badaniem rzeczywistości społecznej. Jeżeli nauka jest jedna i jej zadaniem jest wyjaśnianie – a wyjaśnić, to znaleźć przyczyny, dojść do prawidłowości – to socjologia polska poprzestaje na odtwarzaniu rzeczywistości zamiast ją próbować wyjaśnić. Nie podejmując wysiłku, żeby dojść w naszych analizach do „prawidłowości”, stajemy w pół drogi, dostarczamy kolejnych danych, czasami nawet układa się to w jakieś interesujące tendencje, natomiast niezbędnego w nauce momentu wyjaśnienia tu nie ma. Co najwyżej jest opis.

Przechodzę do konkluzji. Generalną cechą analizy socjologicznej w polskim wydaniu jest powierzchowność, widoczna szczególnie na tle socjologii zachodniej. Wynika to po pierwsze stąd, że występujemy w wielu rolach naraz. Jeżeli spojrzeć na systemowe uwarunkowanie tego problemu, to nietrudno go zdefiniować jako jeden z ubocznych skutków niedoinwestowania nauki. Każdy ma jakieś potrzeby materialne, a jedną z zalet obecnego systemu jest to, że otworzył się w nim szeroki rynek na usługi w zakresie dydaktyki, roli eksperta, publicysty, doradcy i prezentera w TV. Pracujemy w instytutach Polskiej Akademii Nauk, udzielamy się na różnych uczelniach, mamy jakieś wykłady, robimy również wiele innych rzeczy i w gruncie rzeczy nie mamy czasu, żeby robić porządne badania i rzetelnie analizować dane. Oczywiście, Polska jest biednym krajem i niewiele się tu da zrobić. Każdy, od Jastarni do Ustrzyk Dolnych, wie, że konstytutywnym motywem pracy naukowej jest to, co Max Weber nazywał powołaniem (*Beruf*). Jednak nie należy oczekiwać zmian, dopóki nie będziemy przyzwyczajeni zarabiać. Jedną z obserwacji jakie wyniosłem z pobytów w krajach zachodnich było stwierdzenie faktu, że koleżanki i koledzy z Berlina, Oxfordu, Yale, itd., mają na wszystko czas i funkcjonują jakby w wolniejszym tempie niż nasze. Nie powiedziałbym tego o sobie.

Nowym elementem jest wzrost zapotrzebowania na interpretacje socjologiczne ze strony mediów. Jest to okoliczność pomyślna, bo daje okazję do publicznego zaistnienia nauki. Problem tkwi w tym, że na ogół nie prezentujemy się z tej strony co trzeba. Na rynku mediów poszukiwani są socjologowie, politolodzy, psychologowie i historycy-specjaliści od teczek. Najlepiej

byłoby mówić o prawidłowościach dotyczących relacji społecznych, stratyfikacji, nierówności, kultury, itd., ale dla przeciętnego odbiorcy są to rzeczy nieciekawe i nudne i za trudne. TV dobrze to wie, rządzi się swoimi prawami – im potrzebny jest naukowiec z tytułem, żeby uwiarygodnić przekaz swoją obecnością na wizji. Liczy się człowiek, mniej ważne co mówi, nasze priorytety kształtują się trochę inaczej. Sytuacja ta ma kilka negatywnych aspektów. Żeby się udzielać publicznie, trzeba poświęcić czas kosztem pracy badawczej. Po drugie występowanie w roli 3-minutowego eksperta, na temat tego, jaki będzie wynik wyborów, obniża prestiż nauki. Statystyczny odbiorca ma prawo założyć, że socjologia, politologia *et consortes*, zajmują się wróżbiarstwem i szukaniem agentów SB. Można powiedzieć, że każdy odpowiada za siebie i realizuje jakąś strategię życiową. Wyjaśnienie to w niczym nie zmienia faktu, że postrzegani jesteśmy *en bloc*. Dewaluacja nauki jest złym sygnałem dla statystycznego odbiorcy i z punktu widzenia możliwości pozyskiwania środków na uprawianie nauki. Oczywiście, trudno jest zakazać występowania w telewizji. Nie ma w tym nic złego, jeżeli się występuje w roli popularyzatora, ale w sytuacji, gdy występujemy z komentarzem o ogródkach działkowych byłbym za oddzielaniem ról.

I zrobmy coś z tym zalewem książek, produkowanych z tytułu grantów KBN-owskich! Pseudo-naukowych analiz, których nikt nie czyta i które nie przeszłyby przez sito recenzyjne przyzwoitego czasopisma.

Nawiązując do tezy o kryzysie czy rozdrożu nauk społecznych, nie sądzę, żeby kryzys – tak, jak się go definiuje – był tu czymś nowym. W socjologii kryzys polega na tym, że nie zawsze umiemy stawiać napraw-

dę ważne pytania, które pozwalają dotrzeć do „prawdy”, zrozumieć sens zależności między zmiennymi, itd. W socjologii było tak od początku, czyli od jakichś stu dwudziestu lat. Jeżeli chodzi o Polskę, to kryzys jest z powodów, o których była mowa powyżej.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI  
OSOBLIWOŚCI  
NAUK HUMANISTYCZNYCH

Zacznę od przypomnienia, które nasuwa mi się z dużą siłą. Pod koniec XIX wieku za sprawą filozofów niemieckich dokonał się tak zwany przełom antypozytywistyczny. Jednym z zawołań i rezultatów tej niezwykle bogatej i inspirującej refleksji dotyczącej różnic pomiędzy poszczególnymi grupami nauk było uświadomienie sobie, że nauki o świecie ludzkim, a więc te, które zwykło się nazywać humanistycznymi i społecznymi (niezbyt dobrze zdają sobie sprawę, jaka jest między nimi różnica), są z samej swej istoty inne niż nauki przyrodnicze. Mają one odmienne cele niż nauki o naturze, osiągają innego typu rezultaty, posługują się sobie właściwymi metodami. Idee te, wskazujące na odrębność nauk humanistycznych, stały się powszechnym dobrem i są ogólnie znane i w zasadzie – przynajmniej teoretycznie – ogólnie aprobowane, wydaje się zatem, że ich referowanie pozbawione byłoby uzasadnienia, jeśli oczywiście nie chce się działać w myśl nieśmiertelnej maksymy Pana Jowialskiego: „znacie, no to posłuchajcie”. Podziału tego chyba nikt już nie kwestionuje z punktu widzenia teoretycznego i metodologicznego, nikt nie

zmierza do tego, by kształtować którąkolwiek z dyscyplin humanistycznych według wzorów obowiązujących w fizyce, chemii czy biologii, a jednak...

I tutaj należy ze szczególnym naciskiem uwyraźnić zjawisko dla wszystkich nauk humanistycznych groźne i niebezpieczne, a w pewnych przypadkach może nawet zabójcze; ujawniło się ono w ostatnim czasie. To prawda, odrębność humanistyki nie jest kwestionowana w rozważaniach teoretycznych, zaprzeczanie jej od dawna nie jest już propozycją metodologiczną. Podlega zaś jakże niespodziewanemu zanegowaniu na innym polu: odrębność ta kwestionowana jest w planie praktycznym, w metodach zarządzania nauką. Po prostu ci, którzy dysponują w tej dziedzinie mocą podejmowania decyzji, niemal bezrefleksyjnie uznają, że jedynym wzorcem dla wszelkich dziedzin wiedzy są tylko i wyłącznie nauki przyrodnicze – i czynią to w istocie niezależnie od tego, jaką opcję polityczną reprezentują. A podstawowym założeniem powinno być zawołanie, które stało się tytułem książki wielkiego polskiego socjologa, Stanisława Ossowskiego: *O osobliwościach nauk społecznych*.

Nacisk należy tu położyć na słowo „osobliwości”. W zasadzie w płaszczyźnie teorii – powtórzmy – nikt ich od dawna nie kwestionuje, natomiast są one podważane w praktyce, w sposobach zarządzania nauką, a wynikają z przeświadczenia, że wszystkie dziedziny badań dają się zrównać, bo nauka jest tylko jedna. Ujednolicenie takie jest dla humanistyki wysoce niekorzystne, a w pewnych sytuacjach może się okazać zabójcze. Jedną z ważniejszych jej osobliwości stanowi to, że prace humanistów poza nielicznymi wyjątkami nie są sprawozdaniami z badań, w których wystarczy podać

wyniki i – ewentualnie – poinformować o sposobach ich uzyskania. W naszych dyscyplinach dzieje się tak jedynie w pracach, które są przyczynkami faktograficznymi, na przykład biograficznymi, nie zabiegającymi o uogólnienia, problematyzację czy ukazywanie szerszych perspektyw. Tego typu publikacje, niekiedy zresztą cenne, nie wyznaczają horyzontów takich dziedzin wiedzy jak historia i socjologia, nauka o literaturze i językoznawstwo. Oczywiście, jeśli ktoś dysponuje odpowiednimi materiałami, może w faktograficznym przyczynku dowodzić, że Chopin urodził się nie jak dotychczas sądzono 22. lutego 1810, ale 1. marca tegoż roku. Jest to jednak – przypominam – sfera przyczynków, to nie one wyznaczają wagę poszczególnych dyscyplin humanistycznych, nie one decydują o ich znaczeniu dla kultury danej społeczności, w tym także dla obowiązujących w niej zasad i metod kształcenia (i to na wszystkich poziomach).

Gdybym w przyspieszonym tempie miał zarysować podstawowe wyróżniki nauk humanistycznych, wymienilibym trzy najbardziej podstawowe:

- a. Nauki humanistyczne wyróżniają się tym, że formułowane w ich obrębie wypowiedzi stanowią pewien typ dyskursu. Owa dyskursywność, lub – jeśli kto woli – tekstowość, sprawia, że żaden przekaz naukowy humanisty nie jest i nie może być przezroczysty, ma wyraźną strukturę i cechy językowe, które są ważne także ze względu na cele poznawcze wypowiedzi naukowej, jak też na sposoby jej funkcjonowania. Właśnie tutaj nasuwa się analogia z dziełami literackimi. Operowanie tekstem nie może być faktem obojętnym.

- b. Dla pracy humanisty ważna jest uzewnętrzniająca się w jego naukowych wypowiedziach podmiotowość a także – różnorakie związki z konkretnymi kontekstami kulturowymi. Osobowość uczonego, czy to będzie językoznawca czy historyk, historyk literatury czy muzykolog, archeolog czy badacz struktur społecznych, nie zatraca się w tekście, jest z konieczności jednym z punktów odniesienia – i w taki czy inny sposób w tekście funkcjonuje. Wielcy humaniści, choćby posługiwali się nieposzlakowane naukowymi metodami i pisali w sposób skrajnie obiektywny, są w swych tekstach rozpoznawalni. Wielki historyk to nie tylko ten, który w sposób nowatorski i wiarygodny odkrywa i przedstawia fakty, to również ten, który potrafi o nich w sposób odpowiedni i przyciągający uwagę pisać. Rozpatrywane pod tym kątem, nauki humanistyczne dają się porównywać z literaturą.
  - c. Trzecia podstawowa właściwość stanowi konsekwencję dwu poprzednich: dyskursywność (tekstowość) sprawia, iż rozprawy humanistyczne muszą być osadzone w języku, w jakim powstają. To trzeba podkreślać ze szczególną siłą: w konkretnym języku etnicznym – polskim, francuskim czy jakimkolwiek innym. Osadzenie w języku znacząco wpływa na sposoby przedstawiania myśli i badań, a także oddziałuje na społeczne funkcjonowanie nauk humanistycznych.
- Powracam tutaj do podstawowego wątku mojej wypowiedzi: z tych właściwości nauk humanistycznych bezspornie wynika, że powinny być one postrzegane i oceniane (a zatem także finansowane) inaczej niż na-

uki przyrodnicze. Myślę, że niezmiernie ważną sprawą jest to, co nazwałem osadzeniem w języku. Jak wiadomo, nauki o naturze uprawiane są już niemal wyłącznie w języku angielskim. Jest to dzisiejsza norma, nie budząca niczyich wątpliwości, powszechnie aprobowana. Odnoszenie tego wymagania do nauk humanistycznych byłoby dla nich zgubne, doprowadziłoby do kryzysu, a także wchodziło w konflikt ze zdrowym rozsądkiem, bo niby dlaczego prace o kulturze polskiej (czeskiej, fińskiej, jakiegokolwiek innej) miałyby być bardziej wartościowe, gdy pisane po angielsku, niż gdy powstają w danym języku narodowym. O tym zaś, że byłoby zgubne, rozmaite decydują względy. W grę wchodzi także fakt następujący: by napisać wybitne czy przynajmniej liczące się studium z tej lub innej dziedziny humanistyki trzeba znać dany język głęboko i doskonale, z pewnością nie wystarcza tu znajomość angielskiego wyniesiona ze szkoły czy nawet z uniwersyteckiego lektoratu. Tekst humanisty nie może być z punktu widzenia językowego jedynie poprawny, to znaczy wolny od podstawowych błędów gramatycznych, a więc dający się zrozumieć. Autor polski, bułgarski czy węgierski, jeśli nie jest idealnie dwujęzyczny (a to przypadek raczej rzadki) musi przegrać w konkurencji z autorem, będącym *native speaker*em w języku angielskim, nawet gdy ma znacznie więcej od niego na dany temat do powiedzenia, a myśl jego jest bardziej oryginalna i nowatorska. Powiem dobitniej: jeśli w naukach przyrodniczych publikowanie po angielsku jest czymś oczywistym, to wymaganie podobnej praktyki od humanistów jest nonsensem – zwłaszcza gdy ich prace dotyczą spraw danej społeczności i danej kultury, bo niby dlaczego polski (czeski, węgierski itp.) historyk, badacz literatury, hi-

storyk sztuki itp. ma pisać np. o swoim renesansie czy o swoim baroku w obcym języku? Podstawową sprawą jest tu zorganizowanie zespołu kompetentnych tłumaczy, którzy przekładaliby prace uczonych piszących w językach nie funkcjonujących w międzynarodowym obiegu na języki zwane czasem kongresowymi. Gdyby osoby decydujące o losach nauki zdały sobie sprawę z takiego stanu rzeczy i umożliwiły publikowanie prac pisanych po polsku w przekładach na języki obce, wyświadczyłyby wielką przysługę nie tylko humanistyce naszej, ale całej polskiej kulturze.

Na koniec jeszcze jedna uwaga: cudzoziemscy badacze (w tym także zachodni) polskiej historii, literatury, sztuki czują się niezwykle uhonorowani, gdy mogą opublikować artykuł w polskim (i po polsku wydawanym) czasopiśmie czy wydać w języku polskim swoją książkę. Zaspokajają to ich naukowe ambicje, ale często ma także znaczenie praktyczne: pozytywnie wpływa na przebieg kariery w ich ojczystym kraju.

MARIA JANION  
NOWA OPOWIEŚĆ HUMANISTYKI

Przygotowałam wystąpienie dosyć ponure, ale pamiętając o swoich dawnych zaleceniach, dotyczących humanistyki jako poznania i terapii, będę się starała mówić także o możliwościach terapeutycznych.

„Transformacja” i „modernizacja” to najczęściej używane słowa ostatniego piętnastolecia w Polsce. Odnoszą się one oczywiście nie tylko do gospodarki, ale również do kultury. Transformacja demokratyczno-kapitalistyczna w krajach postkomunistycznych doprowadziła, jak utrzymują badacze, do utraty kapitału nie tylko ekonomicznego, ale i symbolicznego przez robotników, ale także przez inne warstwy społeczne. Modernizacja w zakresie kultury objawiła się w tzw. rewolucji medialnej (która przyniosła między innymi umasowienie polityki) oraz w bezspornej dominacji kultury masowej. Odczuwalny kryzys kultury wysokiej, utożsamiany jest na ogół z kryzysem kultury w ogóle, z zachwianiem komunikacji społecznej, opartej na „niewypowiedzianym cichym porozumieniu, na sposobie pojmowania pewnych założeń, wynikających ze wspólnej kultury, tradycji i pamięci”. Do tego obrazu trzeba dodać widoczny w dobie

globalizacji brak zainteresowania ze strony elit technokratycznych kulturą narodową oraz kryzys tożsamości narodowej, czemu świadectwo daje między innymi najnowsza młoda proza.

Odnowiony, a toczący się od XVIII wieku u nas spór o wartości uniwersalne i lokalne utknął dziś w martwym punkcie ze względu na słabo upowszechnione umiejętności czytania dawnej kultury polskiej, ewentualnie traktowanie jej jako zbioru propagandowych cytatów. Ale i to nawet nie jest tak częste. Ma rację Stanisław Lem, pisząc z rozgoryczeniem, że współczesna kultura nasza jest „szalenie splaszczona”, cechuje ją „kompletna amnezja” w stosunku do przeszłości, a literatura została zepchnięta w kąt. Przyznaje, że kiedyś, gdy przychodzili do niego aspiranci do twórczości literackiej, radził im, by uciekali do biznesu albo informatyki. „Nie byłbym dziś taki radykalny” – wyznaje. Nie ma komu podejmować „najcięższych tematów”, jak sam je nazywa, jakby strach i bezwolność opanowały czterdziestomilionowy kraj.

To są wyrzuty również pod adresem humanistyki. Zastanówmy się najpierw nad tym, w jakim otoczeniu ona działa.

*Inteligencja zamilkła.* Wszyscy czytaliśmy sobotnio-niedzielne wyznania Pani Profesor Barbary Skargi, która nie chce wymieniać jeszcze istniejących bastionów inteligentnych, aby – jak pisze – „nie stały się przedmiotem ataków, może chęci zniszczenia”. „Śmierć inteligencji”, taka dyskusja odbyła się niedawno z okazji wydania książki Magdaleny Grochowskiej *Wytrąceni z milczenia*, która między innymi przypomina pytanie z początku lat 60.: „Dlaczego rząd Cyrankiewicza bał się rządu [dusz] Mickiewicza?” Dziś to nie do pomyślenia o rządzie Marcinkiewicza.

Z zamknięciem inteligencji i pomniejszeniem się jej oddziaływania łączy się bardzo poważny kryzys odbioru, o którym mówi Profesor Janusz Sławiński: „Nie istnieje już czytelnik, który by czegoś od literatury oczekiwał i zgłaszał wobec niej jakieś roszczenia i nadzieje. Wszystko, co dociera do odbiorcy jest dla niego w równej mierze nieważne”. Jak pisze Mark A. Schneider w *Kulturze i odczarowaniu*, używając aluzji Szekspirowskiej, wskutek postępów nauki i rozwoju biurokratycznej organizacji społeczeństwa w swej skrajnej formie życie zamieni się w baśń, „która, pozbawiona treści, z pewnością nie będzie znaczyła nic, choćby nawet nie opowiadała jej idiota”. To baśń reklamy, otwierającej wrota do „magicznego świata konsumpcji”.

I wreszcie trzeci najważniejszy objaw procesu modernizacji: komunikacja masowa jako naczelny układ odniesienia polskiej kultury, o którym z pasją pisze Przemysław Czapliński. Dokonał się rzeczywisty powrót ujednolicenia, a kapitał komunikacyjny został zredukowany do postaci zbioru gotowych formuł porozumienia, graniczących z banałami. Brak odkrywczosci wypowiedzi uznany został za pożądaną normę. Porozumienie społeczne w istocie jest bardzo powierzchowne, a nawet pozorne, gdyż nie wsparte nawet elementarną wiedzą humanistyczną o różnorodności świata, co stanowi fundament demokracji. Efekt bierności, tak określa Czapliński to, co cechuje literaturę w naszym „czasie normalnym”. „Ideologia niezmienności wprowadza uczestników kultury w komunikacyjne zniecierpliwienie”. Medialna potoczność zalewa wszystko, a literatura oddaje we władanie nijakości, jak pisze Czapliński, „pole sztuki, na którym walka toczy się o społeczną uwagę, przyznawaną w zamian za odkrywanie nowych form opisu

rzeczywistości”. Idzie przede wszystkim o kreację oryginalnego języka artystycznego, a tymczasem w literaturze panuje tzw. realizm medialny, naśladujący w istocie reportaże telewizyjne.

Gdzie może kryć się źródło odnowienia literatury i humanistyki?

Otóż sądzę, że podstawą humanistyki jest opowieść. Nie wystarczy coś zobaczyć lub przeżyć lub w sobie pojąć. Trzeba jeszcze umieć to opowiedzieć. Opowieść, artystyczna w zamiarze lub nieartystyczna, dąży do formy, czy chce tego czy nie chce. Jeśli nie dąży do formy, staje się niezrozumiała. Istnieje kilka podstawowych rodzajów narracyjnych. Fachowcy nazywają je Romansem, Komedią, Tragedią, Satyrą. Mogą one oczywiście mieszać się ze sobą, tworząc odpowiednie podgatunki. Towarzyszy im „namiętność poznania”, uznawana za istotę europejskiej duchowości. Opowieść, również opowieść humanistyki, jest sposobem orientacji w świecie. Energia opowieści to energia wrażliwości na innego, na tego, któremu się opowiada i którego się słucha, tworząc krąg zrozumienia i współczucia, będącego szczególną formą rozumienia. Opowiadając, zakładamy dobrą wolę wymiany opowieści.

Humanistyka polska może stworzyć nową opowieść. Mamy poczucie, że stare narracje powielają wzory mesjanistyczno-martyrologiczne, które owszem, znajdują posłuch, ale na zasadzie inercji poznawczej i przywiązania do stereotypów. Będąc wynikiem procesów zaborczego „skolonizowania”, poczucie niższości i peryferyjności kraju i jego opowieści znajduje swe przeciwstawienie w postaci mesjanicznej dumy. Ta opowieść jest zamkniętym kołem „niższości” i „wyższości”, które przeradza się w narodową figurę

totalnej niemożności, czyli w chocholi taniec z *Wesela* Wyspiańskiego.

Ostatnio wrażenie na mnie zrobiła wymiana zdań internautów, opublikowana w „Gazecie Wyborczej” pt. *Dlaczego nasze dzieci nie uczą się mitologii słowiańskiej?* Debatujący wyklócali się o to, czy w ogóle istniała mitologia, a nawet religia słowiańska. Co innego mity greckie, rzymskie, skandynawskie, celtyckie – te są autentyczne, bogate, stanowią inspirację dla całej sztuki europejskiej. Natomiast mitologia słowiańska to co najwyżej zlepek wymysłów i dobrych chęci podejrzanych „naukowców” dziewiętnastowiecznych. Cytuję wypowiedź jednego z internautów: „O mitologii słowiańskiej możemy powiedzieć tak mało, że aż szkoda o tym mówić”. Ktoś jednak wspomniął o książeczce Aleksandra Gieysztor *Mitologia Słowian*, która mogłaby służyć do nauki w szkołach.

Trudno nie dostrzec w tej internetowej dyskusji odbicia wielu urazów. Może pod wpływem sukcesów mitologii celtyckiej w filmach na podstawie powieści Tolkienu zrodziło się w kimś – bolesne w końcu – pytanie o własną słowiańską mitologię (dobrze, że nie wspomniano jednak przy okazji o nieudolnej filmowej *Starej baśni*). Pytanie to jednak zostało zakrzyczane przez zwolenników, uznanej za wyższą, kultury śródziemnomorskiej. Upodrzędzenie Słowian w kulturze europejskiej, przeświadczenie o ich niższości wyrażało się w szerzonym niegdyś naukowym przekonaniu, że Słowianie byli ludem – przed chrześcijaństwem – nie posiadającym religii. To znaczy już jakoś w końcu zupełnie wyjątkowym w swej gorszości. Alain Finkielkraut w książce pod znamienym tytułem *Niewdzięczność* (idzie o niewdzięczność europejską wobec krajów

Europy Środkowo-Wschodniej) pisze, że ugoda z Hitlerem w Monachium w 1938 roku była spowodowana nie tylko tchórzostwem, ale i pogardą zarówno dzikiej bestii, jak i przedstawicieli cywilizowanej ludzkości dla „narodów pozbawionych znaczenia”. Obecnie zaś jeden z intelektualistów francuskich obraźliwie nazwał „bałkanizacją” proces powrotu do Europy krajów odciętych od niej w roku 1945.

Kulturowa pogarda Europy dla „małych wschodnich narodów”, dla cywilizacyjnie zapóźnionej Słowiańszczyzny budzi w nas wściekłość, gorycz i smutek. Nie znaczy to, że chciałabym, aby teraz wprowadzono do szkół osobny przedmiot pod nazwą „mitologia słowiańska” i sławiono bóstwa pogańskie albo gloryfikowano twórcę „Zadruży”, Jana Stachniuka. Pragnę tylko, aby – dla uzyskania równowagi – uświadomić sobie dalekosiężne skutki, jakie odcisnęło w polskiej mentalności poddanie się przeświadczeniu o naszej marginalności w Europie i wytworzenia w związku z tym mesjanistycznych fantazmatów. Z dystansu widać zgubne umysłowe skutki opozycji kulturowej „lepszości” i „gorszości”. Podałam tylko jeden z wielu przykładów, wskazujących na konieczność wyzwolenia się z narodowych, cierpiętniczych obsesji.

Nowa narracja humanistyki może o p o w i e d z i e ć i n a c z e j dzieje naszej kultury. Wymaga to wspólnego wysiłku.

JÓZEF LUBACZ

## NAUKI TECHNICZNE JAKO NAUKI HUMANISTYCZNO-SPOŁECZNE?

Jako przedstawiciel nauk technicznych nie czuję się kompetentny, aby wypowiadać się na temat obecnego stanu i przyszłości polskich nauk humanistycznych i społecznych w sensie czysto profesjonalnym. Chciałbym natomiast podzielić się z Państwem kilkoma refleksjami dotyczącymi pożądanego związku nauk humanistycznych i społecznych z naukami ścisłymi, przyrodniczymi i technicznymi.

W temacie naszej dzisiejszej dyskusji zawarto określenie „nowa Europa”, więc może warto powiedzieć kilka słów o polityce naukowej Unii Europejskiej. Gdy mowa o tej polityce, zazwyczaj ma się na myśli tzw. Programy Ramowe, na które przeznaczona jest co prawda tylko ok. 5% sumarycznych nakładów krajów członkowskich Unii na działalność naukową i badawczo-rozwojową, niemniej są one postrzegane jako ważny instrument kształtowania polityki naukowej. W programach tych nauki humanistyczne i społeczne praktycznie nie są reprezentowane. Nie jest to przypadek czy przeoczenie, lecz świadoma polityka, zgodnie z którą Programy Ramowe mają służyć głównie wspieraniu konkurencyjności eu-

ropejskich przedsiębiorstw, natomiast dbanie o rozwój nauk podstawowych, a w szczególności nauk humanistycznych i społecznych, zasadniczo pozostawia się poszczególnym państwom członkowskim Unii.

Wobec tego nasuwają się dwa wnioski. Po pierwsze, Programy Ramowe powinny być na dobrą sprawę przedmiotem zainteresowania ministerstwa odpowiedzialnego za gospodarkę, a nie ministerstwa, któremu podlega nauka. Po drugie, o rozwój nauk podstawowych oraz humanistycznych i społecznych w Polsce musimy zadbać sami, nie licząc na wsparcie Unii, czy innych bliżej nieokreślonych mecenasów. Warto sobie to wyraźnie uświadamiać, aby wyzbyć się złudzeń.

Polityka naukowa Unii Europejskiej jest dobitnym wyrazem realnego (a nie deklarowanego) stosunku do roli nauk humanistycznych i społecznych, a mówiąc wprost – wyrazem niedoceny tej roli. Jest to nie tylko smutne, ale i zadziwiające, nie mówiąc o tym, że nieroztropne. Na temat tego, dlaczego jest to smutne, oczywiście nie ma potrzeby się rozwodzić w tym gronie. Chciałbym więc przedstawić kilka uwag dotyczących tego, dlaczego wydaje się to zadziwiające i nieroztropne reprezentantowi nauk technicznych.

Sposób naszego bytowania w coraz większym stopniu zależy od rzeczy, które są wytworami sztucznymi. Są to nasze własne, ludzkie wytwory, a więc paradoksalnie, im bardziej sztuczny jest świat, w którym żyjemy, tym bardziej jest ludzki. A ponieważ obecnie to głównie technika przyczynia się do sztuczności naszego bytowania, więc z tego punktu widzenia technikę należałoby uznać za dziedzinę *par excellence* humanistyczną.

Dlatego więc postrzega się powszechnie nauki techniczne jako odrębne od nauk humanistycznych i spo-

łecznych, jako nie-humanistyczne? Wydaje się, że jest to pochodna ukształtowanego historycznie postrzegania nauk humanistyczno-społecznych jako odrębnych od nauk ścisłych i przyrodniczych (por. np. dyskusję o „dwóch kulturach” wywołaną głośnym wykładem C. P. Snowa). A ponieważ dość powszechnie uważa się, że twórczość techniczna sprowadza się do zastosowania nauk ścisłych i przyrodniczych (jest to pogląd nieuprawniony!), to w konsekwencji, niejako automatycznie, przenosi się ukształtowane historycznie przekonanie o odrębności nauk ścisłych i przyrodniczych od nauk humanistyczno-społecznych, na odrębność techniki od nauk humanistyczno-społecznych.

To, że rozwój techniki, poza oczywistymi związkami z naukami ścisłymi i przyrodniczymi, powinien być immanentnie związany z rozwojem nauk humanistycznych i społecznych, jest z punktu widzenia reprezentanta nauk technicznych stwierdzeniem dość trywialnym: potrzeba nasycania wykształcenia inżynierów treściami humanistyczno-społecznymi od dawna już nie budzi kontrowersji. Ale czy wniosek ten jest również oczywisty dla reprezentantów nauk humanistycznych i społecznych? Czy wiedza z dziedziny techniki, a ogólniej – wiedza dotycząca tworców sztucznych wypełniających nasz świat i kształtujących nasze bytowanie, jest postrzegana jako istotny składnik wykształcenia adeptów nauk humanistycznych i społecznych?

Mam wrażenie, że nie. W tym stanie rzeczy trudno się spodziewać, aby nauki humanistyczne i społeczne mogły wyjść poza swą tradycyjną rolę ograniczającą się zasadniczo do obserwowania, analizowania i opisywania kondycji ludzkiej, i aby mogły odgrywać większą niż obecnie rolę w aktywnym kształtowaniu tej kondy-

cji, w szczególności w ściślejszym związku z naukami technicznymi.

Obawiam się, że utrzymywanie się obecnego stanu rzeczy może prowadzić do powstawania dwóch „kultur humanistycznych”: „humanistyki abstrakcyjnej” kształtowanej przez nauki humanistyczno-społeczne (w dzisiejszym ich rozumieniu) oraz „humanistyki realnej” kształtowanej przez nauki ścisłe, przyrodnicze i technikę. Podział taki byłby objawem swego rodzaju schizofrenii cywilizacyjnej, której skutki mogłyby się okazać groźniejsze niż te wynikające z kontestowanego nie od dzisiaj podziału na kulturę humanistyczną oraz kulturę nauk ścisłych i techniki; podział na „humanistykę abstrakcyjną” i „humanistykę realną” mógłby się okazać destrukcyjny dla nauk humanistycznych i społecznych.

Mam nadzieję, że dzisiejsza dyskusja przyczyni się do łagodzenia skutków obecnych podziałów oraz do zmniejszenia niebezpieczeństwa powstawania nowych.

Swoje wystąpienie pozwolę sobie zakończyć nieco prowokacyjnym apelem o włączenie nauk technicznych do nauk humanistyczno-społecznych!

JÓZEF TOMASZ POKRZYWNIAK  
POLONISTYKA – MIĘDZY  
STANDARYZACJĄ A WOLNOŚCIĄ

Coraz trudniej już powiedzieć coś mądrego po tych znakomitych wypowiedziach moich poprzedników. Chcę więc na wstępie, nawiązując do tego, co mówił Profesor Lubacz zadeklarować, że jako humanista jestem nieustannie pełen nabożnego podziwu dla techniki i dla osiągnięć nauk technicznych. Nawet kiedy prowadzę samochód, ciągle zdumiewa mnie, jak to jest możliwe, że on jedzie, przyspiesza, hamuje itd. Niby znam zasady jego konstrukcji i przełożenie energii spalania na energię ruchu, lecz nie zmniejsza to mojego zdumienia. Ale ten podziw dla techniki nie zmniejsza też mojej troski o miejsce humanistyki, w tym szczególnie o miejsce polonistyki.

Od słynnej formuły Reja „Niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają” nie minęło jeszcze pięćset lat. Wtedy była to ważna deklaracja roli i znaczenia języka rodzimego w literaturze, w kulturze, w szeroko pojmowanej humanistyce. Język polski dziś, oczywiście, o czym wszyscy wiemy, nie jest zagrożony. Bo nie stanowi dla języka polskiego i dla kultury polskiej zagrożenia, jak niektórzy demago-

dzy jeszcze niedawno twierdzili, integracja europejska. Są co prawda rozmaite zagrożenia związane z wszechobecną wulgaryzacją języka, także z inwazją słów obcych, głównie angielskich, przejmowanych bezmyślnie i powtarzanych bezrefleksyjnie. Moda na wulgarność kiedyś jednak przeminie, a obce wyrazy zostaną z czasem albo odrzucone, albo udomowione; wszak wiele słów, które my dziś postrzegamy jako rdzennie polskie, ma pochodzenie rozmaite: łacińskie, czeskie, niemieckie, francuskie, włoskie, i dla nas one – po wiekach – nie brzmią obco. Wielkie są bowiem możliwości adaptacyjne polszczyzny. Ale trzeba też pamiętać, że nasz język był rzeczywiście zagrożony i że było to zagrożenie śmiertelne. Dał temu wyraz m.in. Franciszek Karpiński. Szczerze, głęboko i z prawdziwym smutkiem martwił się po katastrofie rozbiorów, że nie ma jako poeta szans na sławę u potomnych (a jest to marzenie każdego poety), ponieważ – jak sądził – za sto lat już nikt nie będzie mówił po polsku. Na szczęście te jego czarne myśli i straszne obawy się nie potwierdziły. Nie znaczy to wcale, że powinniśmy zapomnieć o strachu tamtego pokolenia, że nie powinniśmy ciągle pamiętać, iż – parafrazując Norwida – nie tarcz a i miecz obroniły język, lecz arcydzieła. Musimy więc ciągle dbać o to, by te arcydzieła były obecne w naszej świadomości, by nie zabrakło w żadnym pokoleniu ludzi, którzy będą „arką przymierza między dawnymi, a nowymi laty”. Poza podstawowym kanonem tekstów literackich, który jest przekazywany wszystkim Polakom w szkołach, w Polsce muszą być ludzie, którzy nie tylko przeczytają kilka pieśni Kochanowskiego i kilkanaście jego fraszek, ale którzy także przeczytają, i to dokładnie oraz wnikliwie, *Bogurodzicę*, *Kazania świętokrzyskie*, a potem gruntownie

Reja, Potockiego, Morsztynów, Opalińskiego... nie chcę dalej wymieniać, bo ta lista jest bardzo długa, i którzy będą także dobrze rozumieli język tych tekstów. Do tego zaś są niezbędne studia polonistyczne.

Kilkanaście lat temu odzyskaliśmy wolność polityczną; mam jednak nieodparte wrażenie, że jednocześnie tracimy wolność akademicką. Autonomia uniwersytetów staje się frazesem.

W zjednoczonej Europie pojawiła się piękna i mądra idea budowania wspólnej przestrzeni edukacyjnej, określana w skrócie jako proces boloński. To bardzo ważne, by dyplomy lekarzy, inżynierów, biologów i chemików w całej Europie znaczyły to samo, by studia w większości były dwustopniowe, co umożliwia absolwentom z dyplomem licencjata kontynuowanie wykształcenia magisterskiego bez żadnych kłopotów w dowolnej, innej uczelni w kraju i za granicą. Nie rozumiemy jednak – a mówię to w imieniu ogólnopolskiego środowiska polonistyk uniwersyteckich – dlaczego ta idea ma zostać mechanicznie przeniesiona na kierunek tak swoisty, jak filologia narodowa, czyli filologia polska. Polonistyka zawsze przygotowywała do różnych zawodów w szeroko rozumianych dziedzinach kultury. Bez trudu można sprawdzić, ilu absolwentów polonistyki pracuje w wydawnictwach, w mediach tradycyjnych i elektronicznych, w teatrze i filmie, i w wielu innych instytucjach kultury. Wdrożyliśmy więc studia dwustopniowe, by taki różnorodny profil specjalności zawodowych realizować. Ale studia humanistyczne muszą mieć także nieskrępowany obszar naukowych dociekań, zgodny z długoletnią tradycją niezakłócanego toku chronologicznego, co ze względu na podstawowy dla polonistyki kurs historii literatury i języka jest szcze-

gólnie istotne. Chcemy przeto mieć prawo do alternatywnego realizowania tradycyjnych, pięcioletnich, jednolitych studiów polonistycznych. Nie bronimy niedobrej tradycji, jak okopów św. Trójcy. Chcemy jedynie, by w wolnym kraju maturzyści mieli wolność wyboru toku studiów. I nie możemy tego prawa uzyskać. A przecież „bolońskie” uzasadnienie dwustopniowej polonistyki – szczególnie w odniesieniu do idei mobilności – jest dość wątle. Wszak najlepsza polonistyka, z oczywistych powodów, jest w Polsce!

Wspominał wcześniej Tomasz Chachulski o innym zagrożeniu dla naszej dobrej tradycji kształcenia: o obligatoryjnej dwuprzedmiotowości w licencjackich studiach nauczycielskich. To kolejny przykład, jak słuszna i mądra idea w urzędowym formalizmie staje się swoim zaprzeczeniem. Idea, by nauczyciel, szczególnie w szkole podstawowej miał kwalifikacje do uczenia dwóch przedmiotów, pokrewnych i bliskich, jest bowiem niewątpliwie dobra. Jeśli jednak w urzędowych rozporządzeniach sprowadza się do tego, by do programu studiów kierunku X dodać 400 godzin kierunku Y – staje się w skutkach groźna. Gdyby została wdrożona, za kilka lat mielibyśmy dwie kategorie polonistów: takich, którzy uczą tak ważnego dla nas przedmiotu, jak język polski, bo skończyli studia polonistyczne, i takich, którzy kończąc inne studia, zaliczyli blok 400 godzin przedmiotów polonistycznych. To perspektywa – nie waham się tak powiedzieć – zatrważająca.

Zagrożeniem dla przestrzeni akademickiej wolności jest też nadmierna, biurokratyczna i formalistycznie egzekwowana standaryzacja. Standardy, rozumiane jako minima programowe, są z oczywistych powodów niezbędne. Muszą jednak zostawiać szeroki margines swo-

body środowiskom akademickim, by to, co w ich dorobku jest swoiste, wyjątkowe, uświęcone tradycją, lub awangardowo nowatorskie, mogło zostać przełożone na uniwersytecką dydaktykę. Inaczej uniwersytety staną się wyższymi szkołami zawodowymi.

Cała humanistyka, w tym i polonistyka, wymagają zdecydowanie lepszego finansowania. Mówił tutaj do nas Profesor Michał Głowiński o problemach związanych z językiem publikacji naukowych. Ciągłe dotyka nas tzw. lista filadelfijska, na której z oczywistych powodów nie ma czasopism polskich. Jest co prawda odrębna lista polskich czasopism naukowych – trwa teraz dyskusja nad jej ostatecznym kształtem – ale jeśli porównamy punktację na obu listach, a co za tym idzie, środki finansowe, to widzimy przygnębiającą deprecjację humanistyki. A polska humanistyka ma się czym pochwalić. Jeśli my sami, kierowani świadomością naszych osiągnięć, a nie próżną, ksenofobiczną dumą, nie będziemy zabiegali o nasze miejsce w Europie – mówiła o tym Profesor Maria Janion – nikt tego za nas nie zrobi.

I już na koniec jedna refleksja, na pozór niezwiązana z tymi konkretnymi, o których mówiłem przed chwilą. Jestem głęboko przekonany, że po wyczerpaniu się paradygmatu romantycznego przychodzi czas na nowe oświecenie. Na rozumną walkę z demonami obskurantyzmu i zabobonu, z triumfującą ofensywą butnego i bezwstydnego Ciemnogrodu. Na ludzi, którzy odważą się być mądrymi. Na roztropny krytycyzm, na szerzenie światła rozumu. Na nieustępliwe przypominanie zasady trójpodziału władz i nienaruszalności praw człowieka. Na patriotyzm, w którym fałszywy patos deklaracji zastępowany jest czynami dla dobra ogółu.

## HENRYK SAMSONOWICZ WARTOŚCI NAUK HUMANISTYCZNYCH

Podział, który był dotychczas stosowany w Ministerstwie dotyczył rozróżniania tzw. nauk podstawowych i stosowanych. Przy czym humanistyka, nauki społeczne zaliczane były do nauk podstawowych. Nic bardziej fałszywego. Czy naprawdę nauki humanistyczne budujące rodzimy język, z rodzimą historią, psychologią społeczną, generalnie – wiedzę o człowieku i społeczeństwie nie są „wdrożeńiowe”? Podobnie jak te, które dotyczą zasad etyki, ukazują sztukę, kształtującą wrażliwość na piękno? Myślę, że niekiedy mają znacznie większy wpływ na życie społeczne niż niektóre tzw. stosowane. Nauki humanistyczne kształtują sposób myślenia, uczą rozumienia innych, pokazują świat w wielowymiarowych aspektach duchowych i materialnych. Nauka ma być użyteczna Państwu. Sądzę, że raczej Państwo powinno być użyteczne dla nauki, przynajmniej tej przez większe „N”. Każda organizacja społeczna korzysta, a powinna w jeszcze większym stopniu korzystać z nauki. Oczywiście z pomysłów, które można wdrożyć, ale także z konsekwencji pochodnych z szeroko rozumianej edukacji. Mówi się o budowie społeczeństwa opartego

o wiedzę. Jestem zdania, że ten slogan nie jest sensowny, bo pokażcie mi społeczeństwo, którego działalność nie jest oparta o posiadaną wiedzę. Sądzę, że chodzi o społeczeństwo, które jest zdolne do wysiłku intelektualnego, a ten stanowi pochodną także nauk humanistycznych.

Punkt drugi, który chciałem tutaj poruszyć: *Medice, cura te ipsum*. Chodzi o to, żebyśmy nie zapominali o tym, że sami musimy dbać o jakość swoich dyscyplin. Rzadko która grupa dyscyplin jest tak wykorzystywana dla bieżących potrzeb politycznych, dla bieżących potrzeb propagandowych, jak nauki humanistyczne i społeczne. Moja dyscyplina – historia – przypomina nieco kostium wyciągany z lamusa jakiegoś starego teatru i nakładany w zależności od chwilowych potrzeb takich czy innych grup rządzących. Już nie chcę tutaj odwoływać się do rozmaitych wydarzeń z przeszłości, w której historia traktowana była jako domino karnawałowe, które nakłada się dla ilustracji potrzebnych tez. Postarajmy się nie ulegać politycznym modom. Wiem, że to jest bardzo trudne i, szczerze mówiąc, od czasów naszego praojca Herodota nigdy nie było w gruncie rzeczy realizowane. Ale postarajmy się nie nakładać tych masek, których wymagają od nas decydenci. Nie bądźmy służebni.

I wreszcie trzecia sprawa, którą chciałbym krótko zasygnalizować. Musimy nauczyć się przekraczać ciasne bariery dyscyplin. To jest w przyszłości nie do pomyślenia, żeby socjolog nie współpracował ręką w rękę z historykiem, żeby historyk nie współpracował z psychologiem. Mało tego, żebyśmy nie współpracowali z naszymi kolegami z dziedzin bardziej odległych. Już nie mówię o informatyce. Ale z dziedzinami biologicznymi,

ścisłymi. Ponieważ wszystkie one – i to my wiemy – są niezbędne dla naszej działalności. Nie tworzymy nowych praw i nowych prawd, ale wykorzystujemy uzyskiwane przez naszych kolegów i przede wszystkim postaramy się przekraczać te bariery, które ze względów biurokratycznych są tworzone. Część z nas należy do pokolenia, które zaczynało studiować na wydziale filozoficznym, po czym przeniosło się na wydział humanistyczny, żeby ukończyć wydział historyczny. Wpředce będziemy studiować na wydziale historii dwudziestolecia międzywojennego. Naprawdę, nie wolno tego robić. Nie bądźmy tak bardzo zamknięci, stosujemy możliwość jakiegoś porozumiewania się z innymi.

I wreszcie ostatnia sprawa. Nie tworzymy w humanistyce sztucznych bytów. Mam kolegę, Francuza, który jest entuzjastą europejskości. I pisał historię Europy z punktu widzenia Europejczyka, a nie przedstawiciela jakiegoś narodu. I na zakończenie zagadka. Ponieważ chciał on stworzyć historię świata z perspektywy Europejczyka, wobec tego między innymi pisał o wojnie światowej. Jednej tylko. Wojna światowa następowała według niego po wojnie domowej. Wojna domowa zaczęła się w roku 1914. Ciekaw jestem, kto z Państwa zgadnie, w którym roku się skończyła i kiedy zaczęła się wojna światowa? Otóż, wojna domowa skończyła się w czerwcu 1941 roku, a potem zaczęła się wojna światowa. „Europa” jest pojęciem użytecznym w nauce jeśli będzie oznaczać krąg cywilizacji, badanej, definiowalnej. Nie może być wirtualnym pojęciem obejmującym wszystkie dziedziny ludzkich działań, doświadczeń i potrzeb.

ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI  
PROTEST HUMANISTY-FIZYKA

Trudno jest mi mówić jako ostatniemu, tym bardziej, że wszyscy są zmęczeni, więc chciałbym zacząć od protestu i całe moje przemówienie będzie się składało z protestów. Pierwszy protest dotyczy tego, że Pani Profesor Sarnowska-Temierusz na początku tak ustawiła uczestników naszego panelu, że są tu humaniści i ci, których do humanistów nie zaliczyła. W drugiej grupie znalazłem się wraz z moim przyjacielem, Profesorem Białasem oraz przedstawicielem techniki, Profesorem Lubaczem. Muszę przyznać, że ja tego rodzaju przeciwstawianie przeżywam bardzo niedobrze. Pragnę przypomnieć, że gdybym chciał się zaliczyć do grona humanistów według definicji Pani Profesor, to jako historyk nauki chyba bym się nawet do tej wąsko pojętej humanistyki dostał. Bo zajmuję się historią fizyki. Ale to jest tylko żart.

Pamiętam ze szkoły taką sentencję Terencjusza: *Homo sum et humani nihil a me alienum esse puto* i głęboko w tę myśl wierzę. Uważam się za humanistę, mało tego, uważam, że humanistami są także inni fizycy, biologowie, medycy itd. Natomiast owa wąska definicja humanistyki, do której jednak większość dzisiejszych

dyskutantów przyzwyczaiła się i którą próbowała utrwaląć, mnie niesłychanie razi dlatego, że jest szkodliwa dla wszystkich. Mnie się wydaje, że to, co tutaj było powiedziane, poza paroma różnymi technicznymi szczegółami, dotyczącymi liczby godzin na takie czy inne przedmioty, to są detale, nad którymi szkoda debatować w takim gronie. To, co nas w tej chwili wszystkich, humanistów – w moim pojęciu – dotyka, to jest pewnego rodzaju zagrożenie. O tym zagrożeniu mówił już Profesor Białas na początku i dlatego może je przedstawię w trochę innym świetle.

Chyba wszyscy jak tu siedzimy, może z wyjątkiem Profesora Lubacza, jesteśmy traktowani przez polityków jako ludzie nieużyteczni, pasożyty, którzy się nie przyczyniają bezpośrednio do rozwoju gospodarki, hutnictwa, górnictwa. Jest to niesłychanie groźne, bo chce się nam imputować coś, w co nikt z nas nie wierzy; mało tego, jesteśmy wszyscy przekonani, że jest to coś fałszywego. W czasach jeszcze nie tak odległych, kiedy panował u nas „najdoskonalszy ustrój” na świecie, krążył taki dowcip: „Kto ten komunizm właściwie wymyślił? Czy teoretycy, czy eksperymetatorzy? Odpowiedź brzmiała: teoretycy, bo eksperymetatorzy najpierw wypróbowałiby go na psach, a nie od razu na ludziach”. Troszkę mi ten dowcip przypomina to, co się dzieje u nas, wśród decydentów, i to nie tylko teraz, ale co działo się dwadzieścia i czterdzieści lat temu, także w tym „najdoskonalszym ustroju”. Jest to mianowicie próba uwierzenia w coś fałszywego i niemożliwego, że to naukowcy są odpowiedzialni za stan gospodarki i za to, że mają być lepsze drogi, lepsze huty, że pociągi mają lepiej funkcjonować itd.

Jest to przekonanie całkowicie fałszywe. Mało tego, wydawało by się, że każdy eksperymetator – bo prze-

cież to są eksperymenty wykonywane na społeczeństwie – dawno już powinien, po dziesięciu, dwudziestu, a może po czterdziestu latach, uwierzyć w niemożliwość tego, iż nasza gospodarka będzie lepiej prosperować dzięki temu, że będziemy finansowali tych dwieście Instytutów, w których prowadzi się badania stosowane, których nigdy nie można później zastosować (czyli: badania stosowane, ale nie stosowalne). To jest po prostu przekonanie fałszywe i w żadnym innym kraju na świecie już się tego nie robi. I nie rozumiem, dlaczego w Polsce dalej utrzymuje się mit, że należy finansować tylko te instytuty, które wpłyną bezpośrednio na produkcję lepszych maszyn, lepszych turbin itd. Nawiążę też przy okazji do tego, co powiedział Profesor Lubacz, powtarzając pewien mit, kiedy wspominał o programie ramowym Unii Europejskiej, w którym nie ma badań podstawowych. Mit ten, że kierunki finansowania są wytyczane przez programy ramowe, został nam też wmówiony przez polityków mniej więcej dziesięć lat temu. Otóż, to nieprawda. W piątym programie ramowym, o ile pamiętam dobrze, było trzy procent wszystkich europejskich nakładów na naukę, a trzydzieści trzy razy tyle wydawały u siebie państwa Unii Europejskiej. Nie wiem, ile jest w siódmym programie ramowym, ale na pewno poniżej dziesięciu procent. Nie łudźmy się więc i uwierzmy, że to poszczególne państwa decydują o kierunkach swoich badań, a nie programy ramowe. Program ramowy to jest tylko maleńki kwiatek przy kożuchu.

Otóż wystarczy wziąć rocznik statystyczny i sprawdzić, że poszczególne państwa, poza Polską, nie finansują tych badań, które mają na celu polepszenie gospodarki. Wszędzie tam system jest odwrotny. Stwarza się

takie warunki dla przemysłu, ustala takie stymulacje, żeby to przedstawiciele przemysłu przychodzili do poszczególnych instytutów naukowych, zamawiając konkretne projekty badawcze. Bo to musi być pompa ssąca, podczas gdy pompa tłocząca, to wiadomo z fizyki od dawna, tego nie robi. I to jest fakt eksperymentalny.

Nie mogę przy tym zrozumieć, dlaczego przez pięćdziesiąt lat tylu polityków, niezależnie od ich maści, wierzyło i wierzy w mit i wmawia nam nieprawdę. I zdaje się, że przez to uporczywe powtarzanie nieprawdy, w ten mit uwierzyła nawet część z nas. Mówimy: „my nie jesteśmy od tego, ale może zrobimy coś innego”. Uważam, że naszym zadaniem powinno być jednak, żeby przez wykorzystanie mediów, przez nasze codzienne uporczywe przekonywanie, naprowadzić decydentów na drogę cnoty, powiedzieć im, co jest prawdą, a co nie.

To, co powiedziałem możecie Państwo uznać za puste słowa. Zatem dwa przykłady: jeden przykład niedawny, z Wielkiej Brytanii. Kilkanaście lat temu, na początku lat 90., któryś z tamtejszych polityków doszedł do wniosku, że w celu podziału środków na badania należy powołać dwie rady. Jedną radę, która by dzieliła pieniądze na badania w dziedzinach takich jak fizyka, astronomia, biologia, chemia, humanistyka – czyli w dziedzinach „nieużytecznych”. A druga rada miała być odpowiedzialna za badania aplikacyjne. I tam poszły duże pieniądze. Po paru latach okazało się, ku ogromnemu zdziwieniu polityków, że znacznie więcej zastosowań dla gospodarki znalazły badania prowadzone w ramach pierwszej rady, czyli dziedzin „bezużytecznych”. To jest fakt. Opowiadano mi o tym, kiedy tam byłem z delegacją KBN-u.

I drugi przykład, z bardziej odległej historii. Gdyby czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu zwołano wszystkich najwybitniejszych pod słońcem specjalistów od badań stosowanych i powiedziano, żeby wynaleźli najwspanialszy instrument do operacji oczu, to żaden z nich by nie wymyślił lasera. Bo laser wymyślili fizycy, którzy chcieli zrozumieć jak wyglądają procesy wewnątrz atomów, procesy emisji światła. Wymyślili laser, bo kierowała nimi ciekawość świata, o której mówił Profesor Białas. To jest jedyny bodziec, który zmusza nas do pracy. Zarówno humanistów w wąskim sensie, jak i fizyków, biologów, techników. Ciekawość świata! Fizycy wymyślili laser i wtedy już przestał ich interesować. Dziś już fizycy nie zajmują się działaniem laserów, bo zrozumieli jak one działają, ale odkrycie lasera spowodowało, że mamy nie tylko narzędzie do operacji oka, ale bardzo wiele innych zastosowań tego przyrządu. I nigdy byśmy tego lasera nie mieli, gdyby nie ciekawość świata.

Naprawdę marzy mi się, żebyśmy wszyscy jednym głosem mówili o tym i uświadamiali decydentom, jaka powinna być właściwa forma kontaktów nauki z gospodarką. Jeżeli będziemy się tu licytować, kto jest humanistą, a kto nie, to wszyscy pójdziemy na dno. A zapominamy o tym, że naprawdę znaczna część pieniędzy przeznaczanych w Polsce na naukę jest marnowana przez kierowanie ich do instytutów, w których się robi badania bez żadnego pożytku. Mówię to z całą świadomością i głośno.